MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 19 WARSZAWA, 8 MAJA 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

DUSZA POLSKA

MAMY w świeżej pamięci charakterystykę właściwości Polaka, dokonaną przez prof. W. Sobieskiego (nr. 16, 17 i 18 „Myśli Nar.“). Znakomicie naszkicował nam, jak wyglądał dawny szlachcic polski, który tworzył zostawioną nam w schedzie cywilizację polską. W pewnych punktach sięgnął i w nasze czasy; właściwości dawnego Polaka pozostały i są naszą cechą i dzisiaj. Czy mamy być dumni z wyników tej analizy? Czy też mamy się martwić? Sądzę, że najwłaściwiej będzie, jeśli te właściwości, do których się poczuwamy, podzielimy na dodatnie i ujemne, jak to zrobił prof. Sobieski, zdamy sobie sprawę, które z nich są pętami, a które skrzydłami naszej duszy i wytkniemy plan wychowawczy wytępienia przywar.

Analizy takie, jak ta, lub dokonana niedawno przez prof. K. Tymienieckiego („Cechy moralne narodu jako wynik historji“, ob. streszczenie w nr. 3 „Myśli Nar.“ z r. b.), mają ważne znaczenie wychowawcze. Doraźnie jednak wpływają na stan naszego samopoczucia, należy więc wystrzegać się wniosków pesymistycznych. Ani pesymizm, ani zbytnia idealizacja swych zalet, której dopuszczaliśmy się w mesjanicznej pochopności do samouwielbienia, nie są zdrowe. Potrzebna nam jest samowiedza trzeźwa. Dlatego należy się tej sprawie dzisiaj parę uwag publicystycznych.

Można stanąć na gruncie kajania się historycznego i przyznać, że w pewnych warunkach wady nasze przyczyniły się do upadku państwa pod koniec XVIII wieku. Ale z drugiej strony niepodobna nie dopatrzeć się zalet, skoro potrafiliśmy w tak trudnych granicach wywalczyć i utrzymywać tak długo samodzielność państwową i swoistą cywilizację. Obaj przytoczeni autorowie wskazują na to, co nas uskrzydlało. Ważny jest wniosek prof. Tymienieckiego, że pozytywną siłą naszej twórczości było zamiłowanie wolności i zdolność samorzutnego organizowania się. To prawda, co stwierdził w tem miejscu w zeszłym tygodniu sen. J. Bartoszewicz, że nie zawsze ta dobrowolność służby i ofiary na rzecz państwa bywała praktyczna; jest wszakże faktem, że w duszy polskiej tkwi zaród niezmiernie cennej właściwości, mianowicie jest nią łatwy dostęp do duszy obywatela uczuciowych motywów życia społecznego.

Tę zaletę spostrzegł Mickiewicz i na niej oparł swój pogląd, że Polska może się zdobyć na idealny ustrój państwowy, oparty na dobrowolności obywateli, to znaczy na żywym zestroju instynktów i cnót społecznych. Było w tem pewne pomieszanie pojęć o państwie i narodzie. Państwa, jako organizacji objektywnej, na dobrowolności oprzeć nie można, ale tylko dzięki tej samorzutności ducha społecznego można dojść do zorganizowania narodu, jako podmiotu suwerenności państwowej. I to jest kapitał, który w Polsce nie malał, lecz rósł, stając się przytem własnością coraz szerszych kręgów ludności. Naród, który już w XVI w. umiał sformułować ideał obywatela, ma prawo w w. XX na tym obywatelu coś fundować. Przypomnijmy Kochanowskiego: „A jeśli komu droga otwarta do nieba, (to) tym, co służą Ojczyźnie“...

Przyrodniczo historję traktując, nie o wadach i cnotach trzeba mówić, jeno o właściwościach. Więc słusznie prof. Sobieski zaznaczył, że uważany przez nas za chorobliwy rys wybujałej indywidualności był jednakże siłą twórczą niepodległości państwowej. Taki był typ życia— taki ustrój państwa na wielkich obszarach rolnych i taki typ ich gospodarza. Okres rządów szlachty — to rozbicie Państwa na państewka panów. Łatwość życia bez pracy osobistej, ufność w przyrodę, nieufność zaś do ludzi obok posiadłości—to była pańskość ze wszystkiemi dążeniami do imponowania. Szlachcic imponował, bo chciał upokorzyć innych możnością swego państwa, a ciągle to państwo reprezentował.

Tak czy inaczej, ale jest faktem jedno, że to było. Co jest teraz? Czy można tę charakterystykę przenosić na Polskę obecną — to jest rzeczą wątpliwą. Jak Polska długa i szeroka słyszymy dzisiaj jedno pragnienie—mocnej władzy. Coś więc się zmieniło. Dodatnie rysy organizacji narodu zostały, ale państwowo twórcze popędy się zmieniły. Mąci nam pogląd na tę sprawę warcholstwo jednostek uwstecznionych w kulturze, przeważnie ze wschodu, które w sobie wypielęgnowały tradycje samowoli przez reakcję do rządów w Rosji, ale te rychło wymrą. Ogół polski patrzy na takie wyjątki, jak na rarogów, dziwiąc się, że nie zamknięte w szpitalu warjatów. Wojsko nasze dzisiejsze jest wzorem karności, a prosty żołnierz polski tem korzystnie się różni od wielu innych, że ma w sobie znaczną dozę owej „dobrowolności“, wyrażającej się w bohaterskiej inicjatywie.

Skąd pochodzi ten nowy obraz? Stąd, że obecne społeczeństwo polskie nie jest już szlacheckie, włączyło już mieszczan i lud do swojej organizacji. Lud polski może nie miał zalet szlachty, ale napewno nie miał wad. Chętnie przyswaja strony dodatnie dawnej cywilizacji, ale przy odrobinie wysiłku wychowawczego możemy na nim, jak na czystej karcie, wypisywać nowe dzieje ducha polskiego, poprawne, przystosowując je do nowoczesnych warunków życia.

Weźmy taki rys. Ford oddaje w swojej książce pochwały ludowi polskiemu, pracującemu w Ameryce. Na to powiadają, że to właściwość Polaka: u siebie pracuje kiepsko, w obcem środowisku imponuje. Dajmy na to, że imponowanie jest wspólną cechą rasy; ale szlachcic imponował zagranicą złotemi podkowami koni, a chłop-robotnik imponuje — pracą. To wielka różnica! Można przejść po kolei znamiona tamtych czasów i dzisiejszych, a wszędzie znajdziemy dodatnią inszość. Cechą szlachty był np. indyferentyzm religijny, a przypomnijmy sobie dzieje unitów na Podlasiu, Wrześnię i połączmy ten rys z obroną ziemi, jak korzystnie wyróżniał się w tem lud od szlachty.

Faktowi przemian w stosunkach społecznych odpowiada przemiana w charakterze typu reprezentującego epokę. Lud staje się—jak określił Staszic— „funduszem, w którym Rzplita znajduje swoją powagę, obronę i trwałość“. (Ob. nr. 5 „Myśli Nar.“). Elementem czynnym w cywilizacji jest teraz warstwa zwana inteligencją. Inny to był typ jeszcze w wieku ubiegłym, a już inny staje się obecnie, gdy przymieszka charakteru ludowego coraz w tej warstwie się zwiększa.

Uwaga ta rodzi drugą. Studjum nad charakterem szlachty musi być uzupełnione analizą charakteru ludu polskiego, analizą obecnego stanu faktycznego. Tutaj poważne zadanie ma etnologja polska i demografja. Najwięcej zrobiła w tym względzie powieść polska XIX w.

Badanie charakteru narodowego jest sprawą trudną bez uprzedniego ustalenia metody. Jeżeli chodzi o dowód historyczny, to materjał piśmienniczy, którym się możemy posiłkować, bywa jednostronny. Dawny Polak, nie mający literatury, która jest zwierciadłem samowiedzy, został nam przekazany przedewszystkiem w opowiadaniu cudzoziemców. Ci nas odmalowali najdosadniej. Ale dla cudzoziemca mogło się wydawać wadą to, co w gruncie rzeczy Polsce na dobre wychodziło—i odwrotnie. Cudzoziemcy woleliby napewno, żeby Polacy nie mieli w duszy buntu i dawali się byle komu powodować. W każdym razie, o ile pochodzili z kraju o wyższej kulturze, raziła ich pierwotność obyczaju. Ale nawet o tych czasach sąd byłby miarodajniejszy, gdyby zastosować metodę porównawczą: jak było gdzieindziej z przywarami w odpowiednim okresie kultury?

Jeszcze jedno. Jeżeli zechcemy określić właściwie charakter obecnego Polaka, to róbmy to konstrukcyjnie, kładąc przedewszystkiem nacisk na to, co charakteryzuje zdatność człowieka do życia społecznego i historycznego. Zagadnienie charakteru leży większym swoim obszarem w dziedzinie etologji, jako miara odpowiedzialności życiowej człowieka. Charakter nie jest sumą właściwości człowieka, jego zalet czy wad, lecz zagadnieniem pewnego tych właściwości stosunku. Poznać charakter—to poznać dynamiczny aparat człowieka, prawo jego poczytalności i obliczalności w postępowaniu. A więc zasadniczym rysem charakteru będzie ten, który określa stosunek jego woli wykonawczej do jego wyobrażeń o dobrem i złem, o powinności, stosunek do tego wszystkiego, co jest zasadą. Tu określa się człowiek, jak ustawia się wobec celu i środków dochodzenia do niego. Charakter jest tedy formułą postawy moralnej człowieka wobec życia, formułą tej gotowości, z jaką będzie reagował czynnie na zjawiska, wybierając automatycznie drogę powinności.

Każdy czas ma inną formułę człowieka, który przecież nigdy nie jest całkowicie samorzutny, lecz urabia się przez warunki środowiska. W naszych czasach najkrytyczniejszym momentem zagadnienia charakteru jest pytanie co do pracy, w jakiej mierze człowiek ma ją w nałogu i w idei, jako sposób dochodzenia do celu. Jeżeli szlachcicowi można było robić zarzut próżniactwa, to dzisiejszemu Polakowi, który ma w swym aljażu wątek ludowy życia, zarzutu tego w tej rozciągłości robić nie można. Dzisiaj człowiek skłócony z ideą pracy nosi na sobie piętno sromoty, jak dawniej szlachcic, któremuby zarzucono, że obca mu jest idea walki. Wówczas walka była pracą, a my tyle bogatsi, że zdolność obu tych typów pracy musimy brać za kryterjum swego charakteru.

Naród wtedy jest na dobrej drodze rozwoju, gdy jego człowiek: 1) wpada samorzutnie w ruch cywilizacji, jako jej współtwórca i 2) kiedy rozumie, że ten ruch cywilizacja zawdzięcza pracy jednostek. Jeśli mamy już z dawna od wieków wyrobiony ten zmysł samorzutności i posłuchu na interes całości, jeśli wyrobimy w sobie żelazną wolę pracy, która jest zasadą życia cywilizacji, a mamy na to wszelkie dane, to możemy śmiało patrzeć w przyszłość swego narodu. Nie tracąc wiary w siebie, owszem przez uświadamianie braków, oraz przez wychowanie uzupełniając charakter, dojdziemy do dużych rezultatów.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NARÓD, KTÓRY POLUBIŁ WYGODĘ

I

JEST nim Francja współczesna. Złowrogie następstwa tego stanu umysłów wykazuje uczony ekonomista Paweł Bureau w swem obszernem, wysoce interesującem i zaiste tragicznem dziele p. t. „Bezrząd w obyczajach." Anarchja i wygodnictwo... Dwa pojęcia, które umysły współczesne, przesycone pozostałościami moralności romantycznej, niechętnie zbliżają do siebie. Wygodnictwo — cecha nawskroś filisterska; anarchja — to rzekomo wysiłek, rzekomo walka z oporami rzeczywistości pospolitej, bezdusznej. Że jednak anarchja moralna sprowadza się w istocie do wygodnictwa, bezdusznego, wyżytego sybarytyzmu, że aureola uroku energji wysiłku, należy się nie jej, lecz d y s c y p l i n i e moralnej, dowodzi w swej książce P. Bureau, (*L'indiscipline des moeurs, 1922*).

Nie ulega wątpliwości, że neomaltuzjanizm, tak rozwielmożniony w małżeństwach francuskich we wszystkich warstwach społecznych, jest wyrazem przemożnego opanowania psychiki zbiorowej przez wyobrażenia wygody. Wygoda w latach poślubnych — móc bawić się jak najdłużej; wygoda w latach późniejszych — mieć jak najwcześniejszą, beztroską, nieruchawą starość, jak najwcześniej zacząć zjadać zaoszczędzone; wygoda dla dzieci — ochronić je o ile możności od walki o byt, przekazać im jaknajwięcej, więc jeszcze jeden powód, aby mieć ich jak najmniej.

To też Francja stoi dosłownie przed grozą wymarcia. Według mapy demograficznej z r. 1911, na 87 departamentów 68 jest takich, w których ma miejsce nadwyżka liczby zgonów nad liczbą urodzin, czyli które wymierają dosłownie. A w reszcie nadwyżka życia nad śmiercią jest całkiem nieznaczna. Jeśli zaś jest pewien ogólny słaby przyrost ludności Francji, to jest to zasługą zaledwie 10 departamentów (przeważnie północno-zachodnich). W przeciągu 22 lat 1890 — 1911 było siedem lat bezwzględnie deficytowych, to znaczy takich kiedy było więcej trumien niż kołysek, (w tych 7 latach ogółem 168.000 więcej zgonów, niż urodzin). W r. 1910 nadwyżka urodzin nad zgonami wynosiła w małej Holandji 80,000, we Francji — 70,000! U Niemców ta sama nadwyżka wynosiła 880,000, czyli przeszło o 100,000 więcej niż o g ó l n a ilość urodzin we Francji. Na 100 Niemców w r. 1871 jest ich w r. 1910 — 161, na 100 Francuzów w 71 r. jest ich w r. 1910 tylko 109. W r. 1850 Francuzów było więcej niż Niemców (w Rzeszy). W r. 1860 liczby były równe. W r. 1872 Niemców było niewiele więcej, niż Francuzów, w r. 1911 ilość Francuzów wynosi tylko $^3/_5$ ilości Niemców. Francja, która w r. 1789 miała ludność przeszło dwa razy liczniejszą, niż Anglja z Irlandją, w r. 1913 ma jej mniej o 6 i pół miljona (39.5 i 46, Niemców w tym roku 68 milj.). Niedługo zaś i Włochy przegonią Francję: w r. 1880 było ich o 9.6 milj. mniej niż Francuzów, w r. 1913 już tylko o 3 miljony (36.5). To były daty przedwojenne; po wojnie ilość urodzin francuskich wcale nie przybiera; owszem we Francji, która straciła półtora miljona poległych i ma przeszło 300,000 inwalidów nieuleczalnych, wiele osób powiada: „Nie będziemy mieli dzieci poto, ażeby je dawać do rzeźni". Na argument, że niewielka ilość Francuzów nie uchroni ich od „rzeźni", bo kraj wyludniający się jest oczywiście pokusą dla pełnych tężyzny i rozradzających się sąsiadów, neomaltuzjaniści mają odpowiedź: „Agitacja neomaltuzjańska u sąsiadów". Jeńcom niemieckim rozdawano odpowiednie broszurki. Co więcej, łącząc neomaltuzjanizm z pacyfizmem powiadają niektórzy, że to o b o w i ą z e k w z g l ę d e m l u d z k o ś c i mieć mało potomstwa: „gdyby Francja była płodną, to byłaby i wojowniczą"; żeby tego grzechu uniknąć, trzeba pocieszać się nadzieją, że i inne narody pójdą po rozum do głowy i doprowadzą siebie także do tego samego stanu.

Deficyt ludnościowy Francji (na razie jeszcze względny, to znaczy w porównaniu z przyrostem sąsiadów) zaznacza się ujemnie nie tylko na polu walki zbrojnej; nietylko o to idzie, że Francja, która przed wiekiem samą ilością żołnierzy mogła być grozą dla Niemców, w r. 1914 ściągnęła ich najazd na siebie, kusząc ich swą słabością liczebną i tylko przy obcej pomocy dała sobie z nimi radę, złożywszy zresztą nawet przez wroga uznane dowody niewygasłego mimo wszystko męstwa swej rasy; idzie o to, że także w życiu pokojowem Francja cofa się na każdem polu przed ekspansją innych narodów. „Odwrót francuski", *recul français*, zaznacza się w dziedzinie kulturalnej. Książka niemiecka zagranicą wypiera coraz bardziej książkę francuską, która ongiś była własnością całej inteligentnej Europy; co więcej pewne specjalne wydawnictwa naukowe Francja sprowadza dziś z Niemiec. Dlaczego? Bo nie opłaca się takich rzeczy drukować po francusku. Marsylja była przez długie wieki głównym centrem ekspansji na Blizki Wschód; dziś stosunki handlowe, kulturalne, polityczne z temi krajami przeszły w znacznej mierze w ręce Niemców. Toż samo z wpływami francuskiemi na Dalekim Wschodzie i w Ameryce. Bo Francja nie ma ludzi na eksport, bo Francuz, dziedzic małodzietnych rodziców, sam małodzietny lub bezdzietny, nie potrzebuje zabiegać gorliwie o chleb, zdobywać go z wysiłkiem po dalekich lądach i morzach. Wielkie imperjum północno-afrykańskie, które Francja tworzy z takim nakładem krwi i złota, robi się właściwie dla kogo innego. W Tunisie w r. 1913 jest 50 tysięcy Francuzów, ale 109 tys. Włochów, w Algerze imigracja hiszpańska jest silniejsza, niż francuska t t. d. Równocześnie we Francji jest coraz więcej cudzoziemców; i nic dziwnego: kraje sąsiadujące są w pewnej mierze pod względem demograficznym jakby naczyniami połączonemi, objawia się między niemi dążność do wyrównania stanu; gdy zaś zważymy, że Francja ma (w r. 1911) 74 mieszk. na km², Niemcy 123, a Włochy 121, to czyż nie jest zrozumiałe, że, jak powojenne wieści donoszą, we Francji roi się coraz bardziej od Niemców i od Włochów? Włosi jako robotnicy górnicy już w roku 1913 mieli bezwzględną trzykrotną przewagę nad Francuzami. Ułatwiać czy utrudniać naturalizację tych tłumów obcokrajowych? Nowa, trudna kwestja dręcząca świadomość Francuzów, zatroskanych o przyszłość swojej rasy, kultury, państwa.

A równocześnie, pod bokiem Francji, tak obawiającej się ubóstwa, a właśnie na skutek tej obawy powoli mizerniejącej (bo dobrobyt Francji współczesnej to raczej bierne fruktyfikowanie nagromadzonego poprzednio bogactwa, to korzyści płynące z nader pomyślnego pod wielu względami jej położenia), jakby dla przykładu, wzrósł i wzbogacił się potężnie naród, który do dobrobytu szedł drogą nie wygody, ale wysiłku. W r. 1874 pierwszą potęgą przemysłową była Anglja, zaraz po niej szła Francja; w r. 1911 według wartości produkcji idą po sobie: Anglja, Niemcy, Stany Zjednoczone, Francja. Ta ostatnia, jak rodziny, trzyma się w pierwszych rzędach świata dziedzictwem przeszłości ale już coraz wyraźniej się cofa. Handel zagraniczny Francji, licząc na głowę, jest

jeszcze cokolwiek wyższy niż niemiecki; 385 i 380 franków. Ale weźmy pod uwagę rozwój gospodarczy Niemiec w okresie trzeciej części stulecia, w latach 1880-1913. Jeszcze w kilka lat po wojnie 70 r. nikt nie porównywał bogactw obu krajów. Było powszechnie wiadome, że Niemcy są opłakanie biedne i że nie mogą wyżywić swego przyrostu naturalnego. Na 10,000 osób emigrowało 48.

Po upływie $^1/_3$ wieku emigruje ich już tylko 3 na 10.000! A przecież ludność wzrosła w tym czasie o 47% (przyrost ludności niemieckiej w latach 1880 — 1913: 12.600.000, francuskiej w tym samym czasie 2.200.000, t. j. o niecałe 7%). Rodzące się obficie dzieci rodzin niemieckich miały co jeść, co więcej, odżywiały się coraz lepiej. W tych 30 latach konsumcja na głowę wzrosła w Niemczech jak następuje: żyto, pszenica o 24%, mięso — 47%, kawa, herbata, kakao — 44%, ziemniaki — 80%. Powiedział ktoś, że Niemcy głodowali, gdy ich było 41 milj., żyją dobrze, gdy ich jest 68 milj. Liczebność rodzin niemieckich bynajmniej nie przeszkodziła, aby ich życie było coraz słodsze. Konsumcja cukru, konsumcja jak wiadomo tak charakterystyczna dla stopnia dobrobytu, wzrosła we wspomnianym okresie o 188%! Oczywiście sprawiła ten wzrost dobrobytu praca, inicjatywa, a wreszcie — że użyjemy tu twierdzenia socjologa amerykańskiego Benj. Kidda*) „wzruszenie ideałem" narodowym po wojnie 70 r. O to idzie tutaj, że naród dzielny nie potrzebuje bać się silnego przyrostu ludności; co więcej, te kołyski, głośno rozbrzmiewające niemowlęcem dopominaniem się o karm, są potężnym bodźcem do pracy, pilności, pomysłowości. I znowu naodwrót, obfitość ludzi to obfitość, rozlewność ekspansji.

Nieraz słyszy się przypuszczenie, że „wielka niedola francuska" — *grande souffrance française*—postępujące wyludnienie Francji ma przyczynę w zmniejszonej naturalnej płodności rasy francuskiej; tak nie jest; rodziny francuskie w Kanadzie mają często i po 20-cia dzieci, a i w samej Francji stosunek rodzin wielodzietnych do ogółu ludności nie różni się od takiego stosunku w innych krajach; deficyt francuski polega jedynie na nieproporcjonalnie wielkiej liczbie rodzin bezdzietnych lub mających najwyżej dwoje dzieci. W r. 1909 urządzono ankietę między 450 osobistościami ze świata polityki, sztuki, finansów i przemysłu: tylko 39-u miało troje dzieci, 33-ch od 4 — 7-orga, dwóch nawet po 9-oro i 11-oro; reszta t. j. 371 rozkłada się między bezdzietnych i (z niewielką przewagą) najwyżej dwudzietnych. Bureau podnosi, że w ostatnich dziesiątkach lat bezdzietną lub małodzietną była przeważająca liczba najwybitniejszych francuskich mężów stanu. Psychika neomaltuzjańska tak się przyswoiła, że człowiek wielodzietny już z góry uchodzi za mniej wartościowego; kiedy w czasie wojny pewna kobieta zgłosiła do zasiłku sześcioro dzieci, to obecny przy tem autor omawianego dzieła usłyszał zupełnie odruchowe zapytanie urzędnika: „Pani mąż jest pijakiem?" Podobnież kiedy agitowano za przyznaniem pluralnego prawa wyborczego ojcom licznych rodzin, spotykano się, zwłaszcza na wsi, z całkiem naiwnem zdziwieniem: „Jak można dawać przywileje wyborcze najgłupszym?"

Dla zrozumienia tego stanu psychiki zbiorowej w społeczeństwie, wcale zresztą nie biednem, owszem, które jeszcze przed laty kilkudziesięciu było najbogatszem w Europie, trzeba zdać sobie sprawę z rozwielmożnienia agitacji neomaltuzjańskiej we Francji. Nie należy przypuszczać, że jedynie episjer francuski obawia się potomstwa. Agitacja neomaltuzjańska odbywa się na wielką skalę w środowiskach robotniczych, pozostając w ścisłych związkach z syndykalizmem. Powstają związki robotnicze neomaltuzjańskie, propagujące odczyty, broszury, posiadające własne magazyny odpowiednich środków. Wychodzi się z założenia, aby nie dostarczać w obfitości tego towaru, jakim jest praca, a tem samem podnieść jej cenę. Powiada się też w myśl ideałów pacyfizmu: „Ojczyzno, już ci więcej nie dostarczymy żołnierzy!"... (str. 160). Nazywa się ta postawa „strajkiem żywotów"—*grève des ventres*.

Równocześnie niektóre kierunki feminizmu wchodzą w ścisły kontakt z neomaltuzjanizmem. Walka o obywatelskie prawa kobiety przeistacza się nieraz w walkę o prawo kobiety do życia jak mężczyzna — życia według przeciętnej, aktualnej moralności męskiej. Oczywiście wraz z takiem przewartościowaniem haseł feminizmu idzie i osłabienie walki o sumienność mężczyzny względem kobiety. To staje się mniej potrzebne. Kobieta zabezpiecza się przed lekkomyślnością i egoizmem męskim w sposób prostszy. Urządza się specjalne zebrania dla kobiet, z objaśnieniami, pokazami świetlnemi; trzeba widzieć, powiada Bureau, grupy dziewcząt robotniczych, wychodzących z takiego odczytu; młode istoty podniecone łatwością uniknięcia niebezpieczeństw, oficjalną powagą, z jaką o tej łatwości się mówi, okazują swem zachowaniem niedwuznacznie, że są gotowe do eksperymentów... Agitacja neomaltuzjańska posługuje się do swoich zebrań nawet salami szkolnemi, użyczanemi przez merów, wydawnictwami obficie ilustrowanemi, nalepkami, nawet pismem p. t. „Macierzyństwo" (sic)!

W związku z taką interpretacją zasady „jednej moralności" jest rozpowszechnianie się t. zw. „związku przyjacielskiego", czyli poprostu konkubinatu, zawieranego w pełnej obopólnej świadomości, że idzie nie tyle o miłość, ile o przyjemność i... wygodę. Oczywiście, zasadniczą wyższością takiego związku nad małżeństwem ślubnem jest świadomość obopólna jego tymczasowości. Nie są tu potrzebne „te banalne, odwieczne bzdurstwa, które się mówi, spacerując we dwoje po drogach leśnych, w blasku księżyca, te przysięgi kłamliwe i emfatyczne, te obietnice życia szczęśliwszego i mniej obcego wzajemnie, niż się widzi zazwyczaj, te przyrzeczenia fałszywe, te liryczne hypokryzje, które kończą się wyrzutami oszukaństwa, zdradą, zemstą, obelgami, brutalnem opuszczeniem, nieraz nienawiścią, używającą witrjolu, rewolweru i noża; oto niestety, to, co niszczy najlepszą młodzież francuską! Po to tylko, aby pod pozorami niepotrzebnej gadaniny zadość uczynić zdrowemu, prostemu pożądaniu... To jest wielkie nieszczęście rasy łacińskiej, że kochankowie wzdragają się przed wyznaniem zwięzłem i szczerem, że pragną wyłącznie prostej rozkoszy, wesołego koleżeństwa dwu płci. Maski tej ohydnej komedji, inspirowanej przez staroświecką literaturę, obciążają i szpecą nasze piękne instynkty"... Oczywiście ta teorja związku wolnego (wyłożona przez Paul Adam'a*), usuwając odwieczną chimerę, czy nie chimerę, w każdym razie odwieczny postulat ludzi naprawdę młodych i psychicznie zdrowych, którym do szczęścia potrzeba tchu wieczności—ukazuje drogi o wiele wygodniejsze...

Równocześnie ma miejsce propaganda „wolnego macierzyństwa", np. studentkom Sorbony rozdawał ktoś prospekt dzieła p. t. „Być matką nie będąc małżonką"... Ta idea ma jednak mniej powodzenia... Ilość urodzin nieślubnych we Francji zmniejsza się. Co zresztą tłumaczy się i zwyczajami powyżej wskazanymi i stałym wzrostem ilości płodów spędzonych (w ostatnich latach przedwojennych około 300,000 rocznie).

K. L. KONIŃSKI

*) *The emotion of ideal*, p. *The science of power* by B. Kidd, str. 115 i nast.

*) W książce p. t. „Moralność miłości".

PASQUALE VILLARI

WSPOMNIENIE

DWADZIEŚCIA kilka lat temu niżej podpisany uczestniczył w kongresie międzynarodowym umiejętności historycznych, który odbywał się w Rzymie. Na prezesa kongresu wybrano przez aklamację najznakomitszego podówczas z historyków włoskich, Pasquale Villari'ego, autora znanych powszechnie kapitalnych dzieł o Savonaroli (*„Storia di Girolamo Savonarola"*) oraz o Mikołaju Machiavelli'm i jego czasach (*„Niccolo Machiavelli e i suoi tempi"*), będących ozdobą piśmiennictwa włoskiego, a bez których żaden badacz epoki Odrodzenia nie mógł się obyć.

Pasquale Villari był wówczas starcem 75-letnim, miał za sobą zgórą pół wieku zaszczytnej pracy naukowej i obywatelskiej, był prezydentem Akademji Umiejętności (*Accademia dei Lincei),* b. ministrem oświaty, czynnym profesorem florenckiego Instytutu Studjów Wyższych i kawalerem najwyższego orderu Annuncjaty — jedynym wśród pisarzy włoskich. Lat i zaszczytów nie było jednak na nim znać: wyróżniał się żywotnością myśli i zapałem młodzieńczym, a pod względem prostoty obejścia i uprzejmości w stosunku do najmniej znanych uczestników kongresu mógł służyć za wzór dla innych zebranych tu powag i znakomitości.

Polacy, członkowie kongresu, mogli najlepiej to ocenić, Villari'emu bowiem zawdzięczali, iż nie zostali zepchnięci na szary koniec i byli reprezentowani nawet tam, gdzie dla nich, jako pozbawionym reprezentacji oficjalnej, państwowej—wstęp był utrudniony.

Villari, uczestnik walk swego pokolenia o godność narodową i niepodległość swego, kraju odczuwał szlachetnie niedolę narodu naszego i Polakom przyznawał na ziemi włoskiej te same prawa, z których korzystały oficjalnie inne narody.

Poznaliśmy wówczas bliżej Villari'ego, jako człowieka i jako uczonego; dziś, wspominając go po wielu latach, a po dziesięciu wkrótce od jego śmierci, najlepiej go uczcimy, zwracając uwagę na ideje przewodnie jego pracy dziejopisarskiej, której wyniki, nas zwłaszcza, szczególniej mogą zainteresować*).

Historję badał i poznawał Villari nietylko na podstawie materjałów archiwalnych, dokumentów przeszłości, lecz także w nierozerwalnym związku z teraźniejszością, z życiem aktualnem. To ostatnie, w którem brał czynny udział jako patrjota konspirujący przez szereg lat z tymi, co walczyli o wolność półwyspu, przekonywało go, że Włochy w ciągu dziejów miały do czynienia wciąż z jednym i tym samym wrogiem. Całość dziejów Italji, od upadku Rzymu i najścia barbarzyńców aż do walk XIX w. o niepodległość narodową, przedstawiła mu się jako zmaganie się dwóch przeciwnych sobie zasad, jako pojedynek dwóch cywilizacyj, dwóch światów: łacińskiego z germańskim.

Poglądy swoje w tej mierze zarysował Villari po raz pierwszy w niedużej pracy, wydanej w r. 1861 p. t. *„L'Italia, la civiltà latina e la civiltà germanica"* („Italja, cywilizacja łacińska i cywilizacja germańska"), a rozwijał następnie w dziełach *„Le invasioni barbariche"* („Najazdy barbarzyńców") i *„I primi due secoli della storia di Firenze"*. („Dwa pierwsze stulecia dziejów Florencji". 1890).

Dla Villari'ego, tak samo jak i dla znakomitego historyka Francji średniowiecznej, Augustyna Thierry, feodalizm był wynikiem najazdu barbarzyńców. Na schyłku długiego okresu najść barbarzyńców, kiedy podbój Franków obalił królestwo lombardzkie, na półwyspie italskim odnajdujemy dwa różne społeczeństwa: jedno wielkich feodałów, panów żyjących w swoich obronnych zamkach, ludzi chciwych łupu i okupu, nakładanego na ludność żyjącą w dolinach pod osłoną murów miejskich, która stanowiła drugie odrębne społeczeństwo. Jest ono dziedzicem tradycji rzymskich, przechowuje ich zwyczaje, strzeże zazdrośnie — aż do nazw senatu i konsulów — starodawną organizację municypalną i t. p. Pomiędzy temi dwoma społeczeństwami, z których pierwsze powstało z potomków najeźdźców, drugie zaś reprezentuje rdzenną, zdawna osiadłą ludność, pomiędzy temi dwiema odmiennemi rasami wszczyna się walka, która trwa z górą trzy wieki, wypełnia sobą całe średniowiecze i kończy się zwycięstwem gmin nad feodałami, triumfem rasy łacińskiej nad rasą najezdniczą—germańską.

Te długoletnie dzieje są podług Villari'ego nie tyle walką polityczną i społeczną o posiadanie władzy, ile szeregiem wojen ludowych, jakie prowadzi naród, w celu zrzucenia jarzma obcej władzy i wyparcia obcej krwi. Wojny domowe, które przez szereg pokoleń toczą się na półwyspie, są w oświetleniu Villari'ego wojnami narodowemi. Wyzwolenie gmin, było — podług niego — dla całych Włoch pierwszą wojną o niepodległość. Odbudowując w ten sposób jedność historji włoskiej, sprowadzał ją Villari do walki latynizmu z germanizmem.

W tym czasie, kiedy Villari rozwijał poraz pierwszy swoje poglądy na genezę i przebieg tej walki, kiedy zwracał jednocześnie uwagę badaczy dziejów cywilizacji, jak wielką dla niej sprawą było zwycięstwo, odniesione przez kulturę łacińską na terenie półwyspu nad kulturą barbarzyńską — świat naukowy, hołdujący podówczas nauce niemieckiej, wyznawał dogmat wyższości genjuszu barbarzyńskiego, t. j. germańskiego. (Dość tu wymienić między innemi złudzenia w tej mierze Guizot'a i Michelet'a, a także Renan'a i H. Taine'a, których dopiero r. 1870 przekonał, że się mylili). Romantyzm, przeciwstawiający się kulturze klasycznej, wzmacniał również wiarę w osobliwe zasługi cywilizacyjne genjuszu rasy germańskiej. Średniowiecze, którego duchem rozkoszował się romantyzm, było uważane za zjawisko wybitnie germańskie; twierdzono, iż na gruzach państwa i cywilizacji rzymskiej barbarzyńcy stworzyli cywilizację nowożytną z jej wszelkiemi wartościami moralnemi. Kult kobiety, honor, rycerskość, świętość przysięgi, głęboka wiara, miłość uduchowiona i t. p. — wszystko to miało być wytworem genjuszu barbarzyńców germańskich. Dzisiaj, po pracach znakomitych barbarzyńskich. Dzisiaj, po pracach znakomitych historyków i filologów (choćby takich, jak Fustel de Coulanges, Bédier, Rajna, Novati i w. in.), wiemy, że było inaczej. Dzięki tym uczonym mit barbarzyński został rozwiany, nie zmniejsza to jednak zasługi Villari'ego, który wcześniej od innych z mitem owym się rozprawiał i wykazywał jego bezpodstawność. Już w swoim szkicu *„Civiltà latina"* pisał Villari między innemi: „Mówiono nieraz, że cześć dla kobiety oraz idea chrześcijańska miłości są wytworem germańskim. A przecież to w pieśniach gestów i romansach Okrągłego stołu, którym nadano we Francji ostateczną formę, zaczyna się odnajdywać miłość wyższą od zwykłego pożądania zmysłów. Wszak to dopiero w sztuce i poezji włoskiej odnajdziemy po raz pierwszy

*) Rzecz ta wypowiedziana była na posiedzeniu warszawskiego tow. włosko-polskiego „Dante Alighieri", tej rozgałęzionej organizacji kulturalnej włoskiej, której Villari był założycielem i długoletnim prezesem.

ideę chrześcijańską kobiety, wyrażoną w Madonnach XIII i XIV wieku, w Giovannie Cavalcanti'ego, Beatrycze Danta, Laurze Petrarki". Zastanawiając się nad zasadniczemi rysami charakteru ludów germańskich i ludów łacińskich, oraz zaznaczając istniejące pomiędzy niemi różnice, porównywa Villari ze sobą między innymi wielkich poetów obu ras, przedewszystkiem Szekspira z Dantem. Swietną charakterystykę Szekspira kończy następującemi uwagami:

„Jaka jest zasada tego świata, — zapytuje — który poeta roztacza przed naszym wzrokiem olśnionym? Co jest przedmiotem starcia się jego ambicyj, nienawiści, miłości? Czego pragną ci ludzie, pożerani żądzami obłędnemi? Niczego innego, jak tylko iść za namiętnościami, które nimi miotają, roztoczyć potęgę nieukojoną duszy swojej, posiąść przedmiot miłości, zniszczyć przedmiot nienawiści, albo umrzeć. Nigdy niczego, coby stało ponad nami i naszemi namiętnościami. Boskość jest tu nieobecna! Ojczyzna, tak przemożna u poety greckiego i łacińskiego, zaledwie tu się ukazuje. Jednostka siebie samą ma za cel: nic ponad nią, coby ją podnosiło i uszlachetniało. W tym niezliczonym tłumie ludzi, rzekłbyś, ginie ludzkość! A ty, poeto nieśmiertelny, jakie nadzieje, jakie pragnienia, jakie udręki poruszały sercem twojem? Nie wiemy tego. Możemy cię podziwiać i kochać, pozostajesz jednak dla nas bezosobowym i nieuchwytnym, nie podnosisz zasłony, za którą ukrywa się dusza twoja. Wiek twój nawet — nie znał ciebie: przeszedłeś przezeń niepostrzeżony, współcześni wspominają zaledwie jednego z największych genjuszów, jaki kiedykolwiek istniał.

O, jakże innym jest poeta łaciński! Z Dantem wchodzimy w królestwo cieniów.

Zaledwie jednak wielki Gibelin postawił stopę swoją na progu wieczności, a nawet potępieńcy rozpoznają się jako Gwelfowie i Gibelini, Florentyjczycy i Pizańczycy, wśród udręczeń swoich, na dźwięk mowy ojczystej, budzą się ich namiętności i zapominają o cierpieniach własnych. Wśród żyjących Szekspira nie odnaleźliśmy ojczyzny: Dante niesie swoją do piekieł, a uśmierza ona tam męki nieszczęśliwych.

Gdy poeta wstępuje do Czyśćca i do Raju, namiętności cichną, dusza jego wypełnia się nadzieją i miłością rzeczy niebiańskich, nie zapomina jednak o ziemi, a dusze błogosławione mówią mu wciąż z czułością o Florencji, o Italji".

Na wiele lat przed H. Taine'm i t. p., Villari był zdania, że grunt łaciński ludności włoskiej pozostał nietknięty w epoce średniowiecza, pod cienką warstwą nalotu barbarzyńskiego; że rasa auzońska, mocna i subtelna, nie dała się zgermanizować przez panów swoich tych czasów i pozostała wierna tradycjom łacińskim — tak iż potrafiła bez wysiłku nawiązać do łańcucha swych przeznaczeń duchowych, kulturalnych, przerwanego na chwilę przez wandalizm swoich władców.

Był zdania Villari przed innymi, że t. zw. „cywilizacja nowożytna", która miała powstać na gruzach świata rzymskiego, dzięki barbarzyńcom, miała czystsze, pewniejsze źródło w tradycjach tego świata, niż w domniemanych wartościach duchowych świata barbarzyńskiego; że podstawowe instytucje tej cywilizacji — kościół, organizacja państwa, prawo—że jej ideje najszlachetniejsze—idea ojczyzny, miłości uduchowionej i t. p.—były nieodrodnemi owocami kultury łacińskiej.

Z kulturą tą walczy i dzisiaj, w dalszym ciągu, germanizm, zawzięcie i podstępnie, jak w toku szeregu wieków, na co wskazywał w pracach swoich Villari. Tych nowożytnych „naukowych" sposobów walki świata germańsóiego z łacińskiem nie uwzględnia historyk włoski, zwróćmy wszakże, przy sposobności, i na nie uwagę, świadczą one bowiem wymownie o tem, z jak złej wiary przeciwnikiem ma się tu do czynienia.

W ostatnich latach przed wielką wojną, prawdziwą ofensywę przeciw kulturze łacińskiej prowadzili w Niemczech znani szeroko w świecie „myśliciele" i „uczeni", między innymi—H. S. Chamberlain (zniemczony Anglik), Woltmann, Raimer i t. p.

Przekonywali oni świat, w wielotomowych, pełnych erudycji, dziełach (niektóre, jak Chamberlain'a głośne „Podstawy XIX stulecia", były rozpowszechniane za pieniądze Wilhelma II), między innemi o tem, że najwięksi twórcy i przedstawiciele genjuszu łacińskiego byli pochodzenia germańskiego, czemu, oczywiście, zawdzięczali swoją genjalność.

H. S. Chamberlain tak powiada: „Dość jednej przechadzki po Muzeum berlińskiem, w galerji biustów z epoki Odrodzenia, by się przekonać, że typ wielkich Włochów z tych czasów, wygasł zupełnie w naszych czasach z tamtej strony Alpów. Jest to zupełny zanik od *Quattrocenta* germanizmu włoskiego".

Woltmann, autor dzieł „*Die Germanen und die Renaissance in Italien*" i „*Die Germanen in Frankreich*", rozwija już szczegółowo pogląd powyższy, a po zbadaniu wszystkich muzeów świata łacińskiego, dochodzi do przekonania, że wszyscy, bez mała, wielcy ludzie narodów romańskich, byli... Germanami. Tak np. Włosi: Giotto, Alighieri, Bruno, Ghibeiti, Vinci, Santi, Vecello, Tasso, Buonarotti, są to poprostu Germanie—Iotte, Aigler, Braun, Wilbert, Winche, Wetzell, Sandt, Dasse, Bohnrodt. Hiszpanie, np. Murillo i Velasquez—są to germańscy—Moerl Velahisc; Francuzi: Arouet, Diderot, Gounod, oczywiście także najczystsi Germanie—Arwid, Tietrich, Grundiwald... Takie i t. p. niezbite dowody upoważniają autora do twierdzenia, że Odrodzenie włoskie np. nie było ani rzymskie ani greckie, lecz przeciwnie, należy w niem widzieć tylko „etap intelektualny rasy germańskiej, poddanej pewnym wpływom lokalnym tradycji i otoczenia".

Tego rodzaju bredniami naukowemi, dziwolągami erudycji tępej i perfidnej, uzasadniali historjozofowie niemieccy wyższość rasy i cywilizacji germańskiej nad wszelkiemi innemi, wzmagali ambicje i pretensje zaborcze nowożytnego, „cywilizowanego" barbarzyństwa. Historjozof włoski z poznania dziejów dwóch światów: łacińskiego i germańskiego, wyniósł przeświadczenie, że walka odwieczna między niemi nie jest zakończona, że „barbarzyńcy", wyrośli na gruncie germańskim wciąż grożą zagładą ludom, twórcom i dziedzicom cywilizacji łacińskiej.

I dlatego to Villari, podówczas 90-letni starzec, historjozof głęboki rasy łacińskiej i jej wspaniałej kultury, zaklinał w 1915 r. w głośnym liście rząd swój, by nie zszedł z drogi honoru i nowej ofensywie świata germańskiego dał odpór, godny wielkiego narodu.

Jeszcze jednego zwycięstwa kultury łacińskiej nad barbarzyńską niedoczekał się Villari, zmarł bowiem w 1917 r.

Poglądy jednak wielkiego obywatela i znakomitego historyka włoskiego na naturę walki germanizmu z latynizmem przenikają coraz żywiej w świadomość jego ojczyzny, która dziś, piastując, jak nigdy dawniej, tradycje wielkiego Rzymu, wysuwa się na czoło obrońców ludów romańskich i ich cywilizacji, przed najazdem rasy germańskiej.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

ZE WSPOMNIEŃ O WYSPIAŃSKIM

BYŁO to w Krakowie. Przed laty.

Spokój. Każdy mógł zasnąć z tem mocnem przeświadczeniem, że, gdy się obudzi, wszystko wokoło, jak okiem sięgnąć, będzie wyglądać tak samo, zupełnie tak samo. Bo i cóż mogło się zmienić?

Wprawdzie polityk zachowawca, „stańczyk“, zżymał się na „demokratę“, a „demokraci“ odgrażali się na „konserwę“. Ci jednak, czy tamci, zbyt dobrze, na wylot, się znali, aby się łudzić, że z ich swarów coś na dalszą metę wyniknie. A jeśli jeszcze w mieście zdarzył się jakiś piękniejszy pogrzeb, uroczystość jubileuszowa, a z teatru ozwała się zapowiedź przedstawienia efektownej sztuki Ohneta, Sardou, czy może premjery Bałuckiego, — czegoż więcej można było wymagać od życia?

Wystawa Sztuk Pięknych?... Matejko już nie żył i w sercach zwolna gasnął żar jego płócien, równie czcigodnych, jak starodawne mury królewskiej stolicy Piastów i Jagiellonów. Poezja Asnyka pieściła ucho, a jeśli budziła dreszcze, to na jedną, bezpowrotnie przemijającą chwilę, jak przez sen. Szerokiem echem grzmiały rapsody Sienkiewicza. Dusze poiły się bohaterstwem ubiegłych wieków, już same do bohaterstwa i walki niezdolne. I wszystko byłoby w porządku, zacisznie, miło i składnie, gdyby...

Na bruku zjawiały się jakieś zakazane figury, niespokojne duchy, swoi, jednak o pozorach przybłędów i narwańców. O długich włosach, w pelerynach i rozwiewnych krawatach z czarnego fularu, zbyt swobodni w ruchach i obejściu. Snuli się wszędzie. Niedożywieni, głodni, ale w doskonałych, rozśmianych humorach. Ufni w swe posłannictwo dokonania zmiany, przewrotu pojęć, poruszenia z posad ziemi. Przedstawiciele „nowych“ prądów w sztuce, młodzi artyści.

Ale jeśli już sam ich widok niepokoił niemało senne miasto, jakież osłupienie, jaki popłoch musiały wywoływać ich wiersze i rysunki? Powstawały pisemka tych najmłodszych, warjackie kompozycje malarskie, na rogach ulic ukazywały się afisze ich wystaw, a w karnawale zabaw, murzyńsko - egipsko - krakowskich, tańcujących na głowie. Zaciekawiało to nawet powagi z pośród „mydlarzy“, gorączkowało i gorszyło maluczkich. Jeszcze nie odróżniano ziarna od plew. Nie widziano, że cały ten rozgwar, tu i ówdzie podszyty blagą, kabotyństwem, snobizmem, był ledwo zakwasem, fermentem późniejszych, nie z mody już, ale z najgłębszych podstaw duszy narodowej wyrastających, prawdziwych, nieśmiertelnych wartości.

Dużo górnych, osobistych pretensyj onego czasu, maskarad, mistyfikacyj, utonęło w nicości, bez śladu i popiołu. Tak samo jak i obawy miasta, plotki, przesądy, pomyłki. Ot, poprostu, jak blask meteoru. Przeleciał, zaciekawił, nawet nastraszył trochę, i przepadł.

Czasy niezapomniane, błogie, w których zacny Lucjan Rydel zdawał się być zwiastunem nowych prawd sztuki i wogóle niebezpiecznym reformatorem...

Inni, — kto byli? Czego chcieli? Nazwiska tego i owego z impertynenckiego podówczas zboru ozywały się coraz głośniejszem, dalszem echem...

Nie bez lęku zachodzili ludziska do kawiarni Turlińskiego „Pod Pawiem“, aby niebezpieczeństwu spojrzeć wprost, oko w oko. Ale zawodzili się srodze. Przychodzili jak na przedstawienie do cyrku djabłów. Tymczasem nie było się czem strachać, ani czemu dziwić. Ci nowi malarze, literaci, wyglądali jak zwyczajni ludzie. Nie pijani, nie szaleni. Kisielewski, Żuławski, Tetmajer, Nowaczyński, Siedlecki, Wyspiański, Przybyszewski, pili nie absynt, ale pospolitą białą kawę, zachowywali się spokojnie, przyzwoicie. Szukiewicz grał w bilard z Ronikierem. Większy ruch czyniła jedynie gromada sympatyków.

Wyspiański był znany i nie.

Wiedziano o nim wiele i nic.

Był autorem poematów dramatycznych, których teatry nie chciały grywać, w obawie pustek w kasie, i malarzem, na którego utwory wypadało wzruszać ramionami. Przecudna „Legenda“, wydana w dwustu egzemplarzach i oddana którejś księgarni w komis, nie znalazła uznania w prasie:

— Czy już nie lepiej, żeby malował? — mówił litościwie dziennikarz-poeta p. Ludwik Sz.—„Legendy“ i tych jakichś greckich tragedyj nie znam. Zdaje się jednak, że to nic nie jest. Jako malarz może prędzej dojdzie do czegoś?

Chociaż nie. Historyk sztuki p. Łada w odczycie „O malarstwie spółczesnem“ nazwał Wyspiańskiego bazgraczem, a komitet odbudowy Katedry odrzucił jego projekty witrażów: Kazimierz Wielki, Henryk Lignicki, Bolesław Śmiały. Także i komitet odnowienia kościoła Świętego Krzyża przyjął do robót p. Tucha, wiedeńskiego malarza pokojowego, nie jego. Do dziś kościół bezczeszczą te ohydy.

Nie dość na tem. Prezes stowarzyszenia „Sztuka“ Józef Chełmoński, wielce obruszył się na otwarcie wystawy prac Wyspiańskiego:

— To jest cholera japońska, — powiedział o pastelu „Skarby Sezamu“.

Do kupowania nie kwapiono się. Prawie jedynym nabywcą licznych pasteli, szkiców, projektów był p. Juljan Nowak, docent uniwersytetu jagiellońskiego, przygodnie, w roku 1922, prezydent ministrów. A ubogo nad wyraz przedstawiały się te kartony, bez ram, ledwo który ujęty w nieheblowane listwy z surowego drzewa, na szorstkim, pakunkowym papierze, o formach jakże dalekich od wszelkiego lubianego szablonu.

Tyle że młodzi, świetni ówcześni malarze, wyczuwali w pełni jego oryginalność i moc twórczą. Malarstwo jego było stale przedmiotem roztrząsań i sporów.

Raz — pamiętam — w trakcie jednej z tych gawęd, któryś z młodych artystów wywodził jego rodowód malarski od Matejki, następnie przez Paryż, poprzez szereg znanych malarzy ostatniej doby. Rodowód bardzo barokowy, o rozległych rozgałęzieniach, może i w związku z obrazami Wyspiańskiego, ale równie dobrze mógł był dotyczyć także innego jakiegokolwiek artysty.

Cóż bowiem było charakterystyczną, odrębną cechą Wyspiańskiego? Nie koloryt, ale raczej osobliwe, odrębne cechy jego rysunku. Było w tym rysunku coś innego od wszystkich. Rzucało się to w oczy. Jak to jednak ująć, jak nazwać? Typową cechą była linja krzywa, nieledwie zygzakowata. Linja nie spotykana u Matejki, w swym rzutkim, fantastycznym rozpędzie nieznana w malarstwie francuskiem. Dopiero źródło jej wskazał raz przemyślnym swym rozumem Jan Stanisławski:

— Wisła. Brzeg Wisły, krzywa linja jej brzegów pod Krakowem.

Powiedziane to było krótko, niewzruszenie, jak gdyby w jasnowidzeniu. Cała sztuka Wyspiańskiego poczęła się z zapatrzenia w Wawel nad Wisłą.

Wawel pogański, drewniany, królewski, wyrastający z mroku dziejów bohaterstwem, posłannictwem, przeczuciem męki i ofiary, wysoko nad inne królestwa... A później szary szkielet murów, nad którym, u wejścia, w bramie, zasiadł, jak kruk nad ruiną przeszłości, dwugłowy, czarny orzeł austryjacki.

Stąd, jak to dostrzegł genjalnie Stanisławski, poczęła się cała myśl twórcza poety, z nurtów Wisły, z pierwszych świątyń pogańskich, tego najdroższego każdemu narodowi źródła natchnienia. I z przeszłości tej szła w nieskończoność. Linja jego myśli, jego życia.

Mówiło się czasem, że ulegał wpływom postronnym. Zapewne. Witraż „Kazimierz Wielki" zależny jest, niemal że bezpośrednio, od szkiców Matejki, mało znanych szkiców ołówkiem, z spróchniałych czaszek i piszczeli w podziemiach zamku niegdyś Kmitów w Wiśniczu. Podobnie też pomysł do symbolicznego tańca w zakończeniu „Wesela", zrodził się ze skojarzenia wrażeń z obrazu Włodzimierza Tetmajera „Chochoły", — nastroszone posępnie, słomiane chochoły w zimowym sadzie i z obrazu Jacka Malczewskiego „Błędne Koło", — w okrąg głowy małego chłopczyny lecą zjawy polskich dziejów i tęsknot. Ale wpływ tych motywów był — jakby określił Fichte, — „szatą zewnętrzności", szatą pozorów. Dokonanie każdego dzieła było własne, potężne pierwotną potęgą genjusza.

Jeszcze nie nadszedł czas. Dzieła jego nie miały nawet niewielkiej, zdawkowej popularności.

* * *

To też tem więcej ucieszyłem się, gdy w czytelni, w której podówczas zaopatrywałem się w Strindbergów i Garborgów, usłyszałem z ust właściciela przedsiębiorstwa pochwalne wykrzykniki na cześć poety. Abonenci — mówił — czytają, wyrywają sobie jego dzieła, a jedna z pań tak dalece przejęła się niemi, że chce wstąpić do teatru, zostać aktorką, aby tylko móc grać w jego tragedjach.

— Aż tak? Czy ja ją widziałem kiedy?

— Zapewne.

Po kilku słowach objaśnienia przypomniałem sobie, o kogo chodzi. Kiedyś, gdy wertowałem „Misterje" Hamsuna, była, w czerwonym płaszczu. Wówczas modne były takie jaskrawe, oślepiająco jaskrawe płaszcze, niebieskie, żółte, zielone.

Piękna była niezwykle, tak piękna, że ile razy weszła do czytelni, inne abonentki, przebywające w danej chwili w lokalu, milkły, zapatrzone w nią z podziwem i zazdrością. Nazwisko niewiele mogło objaśnić. Podobno pochodziła z Podola, ze wsi. Z wykazu wypożyczanych przez nią książek widać było, że czyta tylko rzeczy szlachetne, cenne, najlepsze.

Dotychczas powodzeniem, uwielbieniem kobiet mogły się pochlubić jedynie poezje Tetmajera. To też o tej nieznanej, niespodziewanej wielbicielce śpieszno mi było opowiedzieć Wyspiańskiemu.

Ale jakoś go nie widywałem. Raz, drugi i dziesiąty nie zastałem go w kawiarni. Nie bywał też w tym czasie we wspólnie znajomych domach, Sewera Maciejowskiego, Józefa Kotarbińskiego, profesora Pareńskiego. Aż pewnego dnia przypadkiem, nieoczekiwanie, natknąłem się na niego w dalekiej, zaniedbanej dzielnicy miasta.

Dzień był wiosenny, nadzwyczaj jasny. W ciżbie starych domostw, osłonionych łachmanami tynku, pośród śpiczastych wież z poczerniałej dachówki, okratowanych okien, kamiennych schodów, szeroko rozpartych wykuszów i rzeźbionych ozdób u bram, wznosił się zadumany kościół Świętej Katarzyny.

Kościół był stary, ceglano-kamienny. Dach miał nizki, bez wież, tylko z małą barokową sygnaturką, pokrytą miedzią. Ogrom murów, otoczony szkarpami z ciosowemi strzelistemi pinaklami, zdawał się rozpadać wśród jaśni dnia. Jedynie ściany nawy bocznej z wielką kruchtą, w stylu krakowskiego gotyku, rysowały się wyraziście, wspominając dawne życie budowli.

Kościół pod wezwaniem Świętej Katarzyny, uczonej córki króla Cypru, zbudował niegdyś Kazimierz Wielki i sprowadził doń zakon Braci Eremitów. Król Władysław Jagiełło i mieszczanie krakowscy uposażyli klasztor w liczne fundacje, a malarze cechowi upiększali freskami ściany kościoła. Ale wylew zniszczył posadzki kościelne i podmulił dwa filary, tak że upadły. A gdy naprawiono szkody kościół spłonął. W ruinie tej, za Wazów, Szwedzi trzymali konie, jak w stajni, zaś Austrjacy po zajęciu Krakowa przeznaczyli pozostałą w całości część budynku na magazyn wojskowy. Jednakże zakonnicy, którzy tu ongi w swych celach wyrabiali pergamin i przepisywali łacińskie księgi, bez przerwy wegetowali przy zgliszczach i w ostatnich dziesiątkach lat, po wielu żmudnych staraniach swego przeora, odbudowali mury.

Wyspiański był sam.

Stał naprzeciw kościoła, sparł się plecyma o ścianę starego jakiegoś pałacu, z śladami renesansowych okien — niegdyś pewnie był to pałac Szafrańców czy Jordanów, dziś, zamknięty z powodu święta żydowskiego, skład pordzewiałego żelaza, tandety.

Stał i patrzał. Woskowo blada jego głowa, pod cieniem kapelusza, z pod którego wymykały się płowe pukle włosów, była nieruchoma, zakrzepła myślą. Oczy miał szeroko otwarte, choć słońce świeciło mu prosto w twarz. I patrzył w górę, niby licząc wrony, które pod rozognionym sklepieniem nieba rozbieżnemi stadkami uganiały wokoło szczytów kościoła.

Jak gorąco kochał on te stare mury, świadki wielkiej przeszłości, to, gdy nowocześni barbarzyńcy wzięli się po swojemu do odnawiania Katedry Wawelskiej, wyraził może najdobitniej pewien młody entuzjasta twórczości poety:

— Jego boli każda cegła Wawelu...

ANTONI WYSOCKI

(Dok. nast.).

ŚWIĘTA SALOMEA

Lilij wykwitasz bielą w witrażowych szybach!
Łuki sklepień gotyckich zadumanych katedr
schylają się nad tobą jak motyle skrzydła
nad najpiękniejszym kwiatem.

W śniegu lilij jawisz się święta Panno!
Uśmiech twój rosą niebieską na duszę upada:
Strzelistą jesteś, złotą, jako kwiat dziewanny!
jesteś harfą grającą na kwitnących sadach!

Wiją się ramion twoich węże płomieniste
wznoszące z złotych lilij burbońskich Koronę:
pali się krwią rubinów, lśni w djamentów iskrach
Korona w łzach pacierza, w Zmartwychwstania gromach!

Nad radością serc naszych wznosisz ją Panno święta!
nad ziem polskich hosanną, co pod błękity bije —
Liljo! w lilijowych niosąca rączętach
z złotych lilij burbońskich płomienną Relikwię!

JÓZ. AL. GAŁUSZKA

LIBERUM VETO

Przykra niespodzianka. — Odciążone gałęzie drzewa, które się nie przewróciło.—Pierwszy energiczny odruch.— Ambasador Sulejówka. — Organizacja najwyższych władz wojskowych. — Projekt przez największe powagi wojskowe pochwalony, a przez małe opluty. — Zbyteczne a potrzebne wyjaśnienie.

ZAMIAST oburzenia należałoby socjalistom tutejszym okazać współczucie. Bo rzeczywiście jakże bolesna spotkała ich niespodzianka! Zeskoczyli z dwu gałęzi ministerjalnych, na których siedzieli przez kilka miesięcy, mocno przekonani, że całe drzewo, pozbawione równowagi przez ubytek dwóch tak ciężkich ciał, przewróci się. Tymczasem ono nie tylko stoi, ale się wyprostowało, a nawet odnowiono projekt zupełnego odpiłowania w niem tych zbytecznych i zrobaczywiałych gałęzi. Przykry zawód. Z tym zawodem łączy się inna omyłka w rachubie. Socjaliści, przyzwyczajeni do łatwo zdobywanych ustępstw ze strony czynników rządu, spodziewali się, że jeśli uproszeni pozostawią w nim swoich mężów, sprzedadzą tę łaskę drogo—za upragnioną przez nich cenę gospodarczego zrujnowania Polski. Byłyby wtedy zaniechane oszczędności, zachowane dziesiątki tysięcy próżnujących urzędników i robotników oraz zbyt wysokie ich płace, rozpoczęty druk pieniędzy papierowych bez pokrycia, wojsko zmniejszone do zupełnej niemocy obronnej państwa — wogóle wszystko to, co nas spycha w coraz głębszą przepaść, podtrzymuje ogólną nędzę i pozbawia kredytu zagranicą. Minister skarbu nie zdołał oprzeć się naciskowi, hamującemu redukcję armji urzędniczej i nadmiernych wydatków, ale oparł się inflacji — drukowi bezwartościowych pieniędzy. Więc ominęła nas przynajmniej ta klęska, która narodowi grozi największą ruiną a socjalistom sprawia szczególną radość. Ominęło nas również zawichrzające kraj, zwykle długotrwałe przesilenie, które p. Piłsudski doprowadził za swoich rządów do trzech miesięcy, a które dla rybaków mętnej wody stanowi porę najobfitszych łowów. Tę dla nich niemiłą a dla społeczeństwa miłą niespodziankę zawdzięczamy głównie Prezydentowi Rzeczypospolitej. O ile z oddalenia sądzić można, jest to pierwszy z jego strony odruch energji. Prawie powszechnie już uznano, że zakres władzy wyznaczonej Prezydentowi polskiemu przez konstytucję jest śmiesznie szczupły i musi być rozszerzony już nie ze względów osobistych, ale politycznych. Nie może głowa państwa służyć tylko do noszenia złotej czapki i posiadać swobodę ruchów sparaliżowanej ręki z wielkim pierścieniem na palcu. Nasz Prezydent jest człowiekiem bardzo lojalnym, prawym, tak niezdolnym do przekroczenia swej władzy, że ażeby się tego ustrzedz, nie zbliża się do jej granicy. Pamiętny jest wypadek wtargnięcia do niego nocą p. Piłsudskiego z „ostrzeżeniem“, na które on zamiast nagany otrzymał nawet pokwitowanie. Samotnik z Sulejówka odegrał wtedy i odgrywa ciągle rolę samotnika z Warwina, z tą różnicą jednak nie tylko co do osobistej miary, ale co do powodzenia: Wilhelm II bowiem nie pozwoliłby Bismarkowi tak zuchwale się nawiedzać i prawić sobie „ostrzeżeń“. Nasz Prezydent jest pobłażliwszy, pomimo że ulega samochwalcy, a nie bohaterowi wielkiej chwały. Ponieważ zaś każda bytność p. Piłsudskiego wywiera ten lęk na członków rządu, co groźba piastunek, straszących nieposłuszne dzieci: „dziad idzie“, przeto z wielkiem zadowoleniem dowiedzieliśmy się, że p. Prezydent nie poddał się temu strachowi. A było to doprawdy śmiałe i godne głowy państwa złamanie zwyczaju. Szkoda jednak, że nie skorzystał z okazji odchodu swoich towarzyszów socjalistycznych i nie przyłączył się do nich minister spraw wojskowych, gen. Żeligowski, dziś główny ambasador Sulejówka, akredytowany przy rządzie polskim. Co wyprawia ten szanowny mąż, powołany do utrzymania siły i karności w armji, o tem Foch, gdyby dowiedział się, z pewnością rzekłby: „dobrze, że taki naczelnik siły zbrojnej w Polsce jest po wojnie, ale nie dobrze, że przed wojną“.

Gen. Żeligowski bowiem nietylko pozwala swemu podwładnemu, a w rzeczywistości zwierzchnikowi lżyć publicznie najdzielniejszych generałów, zmuszając pozbawionych obrony i zadośćuczynienia do dymisji, nietylko usprawiedliwia te napaści, nietylko przez nie wprowadza do armji rozstrój, ale jeszcze w odpowiedzi na interpelację senacką ubolewa nad zwłoką w uorganizowaniu wyższych władz wojskowych. Na tym punkcie zatrzymam dłużej uwagę czytelników, bo na nim opiera się jeden z najgorszych skandalów naszego nierządu. Kiedy p. Piłsudski spadł ze szczytu władzy na poziom „biskupa w kraju niewiernych“, jego wielbiciele nie mogli pogodzić się z myślą, ażeby człowiek, który okrył sztandar polski chwałą „nieznaną przodkom“, mógł być pozbawiony nadal możności mnożenia tej chwały. Ponieważ zaś nie należy on do skromnego rodu wielkich bohaterów ludzkości, którzy po odegraniu swej historycznej roli na arenie publicznej — cofają się bez urazy i gniewu do życia prywatnego, czekając na sposobność ofiarowania swych usług ojczyźnie, lecz musi ciągle władać i rozkazywać, więc postanowiono wykuć dla niego w skale konstytucji jakieś szczytowe stanowisko, któreby panowało nad wszystkiemi innemi. Upatrzono je w organizacji najwyższych władz wojskowych. Wszystkie jednak projekty nie dogadzały ambicji męża z głową w chmurach, a stopami na rozpłaszczonych bałwochwalcach, bo chociaż zapewniały mu jako inspektorowi armji pewne przywileje, nie mogły go zupełnie uwolnić od wszelkiej zależności, której on nie znosi. Rozpoczęły się targi, kłótnie, a nawet ordynarne wymysły. Ponieważ redaktorowie ustawy pragnęli nietylko zadośćuczynić żądaniom „największego Polaka“, ale również zabezpieczyć Polskę, chociażby dlatego, ażeby on miał się z kim „zmagać“, przeto ułożyli i wnieśli do Sejmu projekt, uwzględniający tę drugą, wcale niemałoważną potrzebę. Projekt ten długo czekał na wejście pod obrady, gdy nagle gen. Żeligowski kazał go wycofać. Tu muszę przytoczyć zeznanie świadka niewątpliwej powagi. Jeżeli spojrzymy na nasz Sejm z oddalenia, to przedstawi on nam obraz bardzo nierównego gaju, w którym z pomiędzy gąszcza karłowatych, kolczastych i omszałych krzewów, dzikich i trujących chwastów, wyrastają rzadko wysokie i rozłożyste drzewa. Należy do nich poseł Stefan Dąbrowski. Odznaczył on się tak wielką gruntownością sądu, jako uczestnik obrad komisyjnych nad sprawami wojskowemi, że jedną z jego mów rozpowszechniono w osobnych odbitach. Otóż ten wybitny, niepodejrzany ani w kompetencji, ani w bezstronności redaktor ustawy o najwyższych władzach wojskowych opowiada w „Warszawiance“ niezmiernie ciekawe jej dzieje.

Chcąc się umocnić w przekonaniu o wartości projektu, pojechał do Francji i przedstawił go do oceny najznakomitszym wodzom, którzy okryli się chwałą w ostatniej wojnie. Wszyscy oni uznali za doskonały—ten projekt, który został opluty przez naszych domorosłych strategów i jako niegodny rozważenia wycofany z Sejmu. Dziwnie wstrętnego i bolesnego wrażenia doznajemy wobec widoku tej naszej rozdętej pychą małości, tego samochwalczego rozumku, wynoszącego się ponad najwyższe rozumy świata! Ludzie, którym jedynie przystałoby podnosić oczy w górę, ażeby przypatrzeć się obliczu olbrzymów, uważają się — mówiąc językiem Shakespeare'a — za rodzaj kolosu rodyjskiego, który okraczywszy cieśninę na dwóch brzegach, przepuszcza wysokomasztowe statki

między swemi nogami. Ten narzut zuchwałej pretensjonalności wywołuje największy zamęt w dziedzinie wojskowej. Pod jego wpływem i terrorem Prezydent Rzeczypospolitej, lękający się najmniejszego rozszerzenia swej szczuplutkiej władzy, zażądał od rady ministrów piśmiennego oznaczenia jej w stosunku do wojska, chociaż Konstytucja mianuje go wyraźnie najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych podczas pokoju. Wyjaśnienie to było zbyteczne, ale okazało się potrzebnem dla prawego i skrupulatnego umysłu, omotanego pajęczyną wątpliwości przez nienasyconą ambicję sofisty, który wszelkiemi skrętami logiki chce dowieść, że Polska to on. W takiej karykaturze odrodził się u nas Ludwik XIV!

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

WSKAŹNIK MAJOWY

ŚWIĘTO narodowe 3 maja w roku bieżącym dało sposobność, przez zestawienie w pamięci świąt poprzednich, do stwierdzenia, że bądź co bądź sens życia w Polsce się klaruje. Tak się złożyło u nas, że święto narodowe o jeden zaledwie dzień odległe jest od święta socjalnego, z którego agitacja chce uczynić święto antynarodowe, a z kwestji robotniczej probierz trwałości państwa. Jest to więc niejako rewja majowa dwóch sprzecznych dla państwa sił: dodatniej i ujemnej, konstrukcyjnej i destrukcyjnej. Polska już ósmy rok między temi siłami się waży, zdana na łaskę powolnej ewolucji stosunków.

Innego „faszyzmu" nie może w Polsce być, dopokąd nie zrośnie się po rozbiorach i nie wyleczy gospodarczo oraz psychicznie. Na chory organizm rzucił się po wojnie duch bolszewicki socjalizmu i ten pożerał jej siły, zaledwie tyle ich pozostawiając, że z nadwyżki zdrowia utrzymuje się życie, pomalutku krzepnące. Żywioły antypaństwowe, znajdujące w socjaliźmie swój sztandar, pod wpływem wychowawczem życia, z każdym rokiem słabną. Tegoroczna rewja 1 maja przekonała chyba wszystkich w społeczeństwie i w rządzie, że moda polityczna ulegania przemożnej jakoby sile socjalizmu, jest już mocno przestarzała.

Socjaliści tak wielką wagę przywiązywali do rewji swojej w tym roku, że na kilka dni przed 1 maja wystąpili z rządu, żeby mieć wolne ręce do roboty rewolucyjnej. Zrobili to w przekonaniu, że rząd się rozsypie i że na ten czas w kraju będzie anarchja. Tymczasem stosunki w Sejmie o tyle się poprawiły, że rząd zdołał się utrzymać bez głosów socjalistycznych. Tak tedy pokazało się, że socjalizm wykruszył się sam i że roli politycznej już nie odgrywa.

Było faktem oddawna nie tajnym nikomu, że stosunki w społeczeństwie są już znacznie lepsze od tego stanu, w którym jego wyraz parlamentarny stabilizowany jest w Sejmie. Ale nawet i ten wskaźnik uległ wpływowi życia. W Sejmie punkt ciężkości przeniósł się znacznie na prawo. Życie, niezawodny regulator, wyznacza potrochu odpowiednie miejsca żywiołom, zdzierając jednocześnie maskę mafjom i mętom społecznym, odgrywającym rolę żywiołu. T. zw. lewica utraciła już nimb ideowy i potrochu musiała się ześrodkować, jak opiłki koło magnesu, dokoła antypaństwowego komunizmu. Tam zsunęły się wszystkie Bryle, obwieszeni orderami z dobrych czasów Dąbscy i rozmaici wyzwoleńcy, legitymujący się hasłem rządów robotniczych i włościańskich. A przecież — przypomnijmy sobie — niedawno były takie czasy, kiedy to samo hasło promieniowało od przeciwnego bieguna, gdy Moraczewscy i Daszyńscy byli przy rządzie.

Teraz w Polsce widoczny stał się fakt, że każdy nowy rząd musi być lepszy od poprzedniego i że niema tendencji cofania się na lewo. Idziemy naprzód krokiem powolnym i na razie taki tylko może być nasz faszyzm. Myśl państwowa stabilizuje się, idą w górę wartości narodowe, ustaje inflacja państwowa bolszewicka. Bolszewizm staje się specjalnością... kryminalną.

Socjaliści giną od bakcylów silniejszych. Dzień 1 maja był dniem bratobójczej walki między temi obozami bakcylów. Na ulicach stolicy legł szereg trupów, wielu było rannych. Policja nie brała broni do ręki, rozbrajała zwaśnionych. Obojętnie przypatrywało się walce społeczeństwo polskie, jako na coś, co już jest poza niem.

(X)

KRAKÓW CHCE DO EUROPY...

KRAKÓW doszedł do posiadania „Gazety Literackiej", w której wypowiada ostatnie słowo swojej myśli najszczytniejszej. Jest to synteza wieloletniej pracy zbiorowej „Czasu", „Nowej Reformy", „Naprzodu" i dzienników żydowskich. W ostatnim artykule wstępnym (nr. 7) „Gazeta" urąga Polsce w ten sposób:

> „Każdemu kulturalnemu Polakowi jest dziś jasne*m*, że moment odzyskania niepodległości stał się równocześnie momentem uświadomienia sobie ogromnej pustki ideowej, jaka poczęła ziać z życia wyzwolonej Polski. Ostatnim bowiem wyrazem naszej narodowej ideologji było pragnienie niepodległości, to też gdy ona została zrealizowan*q*, wyczerpał się nasz ideowy program. Fakt ten jest ogólnie znany*m* i często powtarzany*m*".

Organ pustki ideowej, wychodząc z tego założenia, a kulejąc na *ablativus judaicus*, dąży do tego, aby Polacy poniechali kultu narodowego ideału, bo to stęchlizna zaścianka. „Trudno entuzjazmować się jedynie tem, że Polska jest, i całą ideologję ująć w programie, którego jedyną treścią jest dążenie, by Polska była"... Nie róbmy z dusznej izby świątyni, „upójmy się oddechem, dla którego potrzeba powietrza całej Europy."

Koniecznie się upoić, koniecznie powietrzem Europy i to całej.

Program ten tak brzmi, jakby wydawcą i redaktorem pisma był conajmniej woźny hr. Al. Skrzyńskiego, wydawcy „Czasu". Idee nowe, świeżutkie, prosto z Genewy i Locarna, ale tło duszy dawne, enkaenowskie.. — Mówiliśmy zawsze, że nie trzeba się wyprzęgać, czy wyjarzmiać. Dopóki byliśmy w Austrji, mieliśmy Europę, a teraz pustka zieje. Nie wiadomo komu służyć, komu się lizać. Kraków zawsze żył ideą na europejską miarę. Śmiano się z tego, a teraz pokazuje się, że miał rację. Trzeba się z tem śpieszyć, — myśli sobie w duszy „Gazeta", bo gotowiśmy przyzwyczaić się do Polski. Zlikwidować do djabła interes, póki nie nauczymy się pisać po polsku!

A poeta europejski Zechenter na str. 3 woła w natchnieniu do Polski, aby sypała do Europy:

> Nieś wonne plastry miodów,
> chleb i sól nieś w ofierze —
> w podwoje Ligi Narodów
> w siermiędze wstąp, nie w puklerzu...

Zwidział się poecie p. Skrzyński, który w ofierze już nosił w podwoje Ligi swe miody. „Wpierw jestem— mówił — Europejczykiem, potem Polakiem". Był bez puklerza, to prawda, ale nie w siermiędze był, jeno w żakiecie... Skoro Europa, to Europa.

(X)

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Strajk powszechny w Anglji. — Naród, który polubił wygodę. — Decyzja rządu Baldwina. — „Otwarte" przesilenie. — Sprawa „naczelnych władz obrony państwa".

W ANGLJI rozpoczął się strajk jeneralny. Według słów artykułu zamieszczonego w „*Times*" w przeddzień wybuchu strajku, naród angielski stanął dziś w obliczu największego niebezpieczeństwa, jakie groziło mu od czasu upadku Stuartów. Zaś „*Temps*" paryski, omawiając wypadki po drugiej stronie La Manche, stwierdzał tegoż dnia w artykule wstępnym, że Anglji grozi „kryzys społeczny najpoważniejszy, najbardziej tragiczny ze wszystkich, jakie przeżyła w swych dziejach". Jakież są tego kryzysu przyczyny?

Określenie: „naród, który polubił wygodę" rzadko może być z większą trafnością zastosowane, niż właśnie do dzisiejszego stanu psychicznego narodu angielskiego. Polubił, nawet pokochał wygodę każdy przeciętny obywatel Zjednoczonego Królestwa. Pokochał ją również górnik angielski, pracujący po 7 godzin dziennie za płacę o $33^1/_3$% wyższą, niż w r. 1914. To też według ostatnich danych statystycznych (za luty r. b.), z pośród 808 przedsiębiorstw górniczych W. Brytanji—602, stanowiące 72 proc. ogólnej produkcji węgla w kraju, należało do przedsiębiorstw deficytowych. Od ostatniego ustalenia płac (lipiec 1925 r.) mogły one nie przerywać pracy jedynie dzięki dopłatom, udzielanym ze strony skarbu państwa.

Ale stan tak dalece nienormalny nie mógł być trwały. Komisja królewska, powołana do zbadania przyczyn przesilenia w górnictwie, doszła do wniosku, że sprawa ustalenia płac winna być ostatecznie załatwiona drogą ugody obu stron zainteresowanych: przędsiębiorców i górników. Rząd zaś oświadczył w sposób stanowczy, iż od dnia 30 kwietnia r. b. wstrzyma wszelkie subsydja, udzielane przedsiębiorstwom deficytowym.

Rokowania między właścicielami kopalń i górnikami nie doprowadziły do wyniku, gdyż górnicy nie zgodzili się zupełnie ani na powiększenie o godzinę dziennie czasu pracy, ani też na jakiekolwiek zmniejszenie płac. Dla wzmocnienia ich stanowiska i wywarcia nacisku na rząd rada *Trade Union*'ów zagroziła ogłoszeniem strajku jeneralnego. Nacisk był bezskuteczny, rozpoczął się strajk.

Fakt, iż właśnie w chwili obecnej rząd konserwatywny p. Stanleya Baldwina zdecydował się przystąpić do walnej rozprawy, którą (drogą dopłat dla przędsiębiorstw deficytowych) odwlekał od lipca roku zeszłego, jest bezwzględnie faktem bardzo znamiennym. Widoczne jest, iż wobec groźby strajku powszechnego rząd angielski nie czuje się już dziś tak bezbronny, jakim był jeszcze przed dziewięciu miesiącami. Przygotowania na wypadek strajku zostały poczynione. Pod hasłem „Za króla i ojczyznę" gromadzą się liczne rzesze ochotników, stających do pracy, aby na czas strajku utrzymać w miarę sił i możności normalny bieg życia. To pewne, iż wynik walki, jaka się obecnie rozpoczęła, będzie mieć olbrzymi wpływ zarówno na przyszłe losy Anglji, jak i wogóle na cały dalszy układ stosunków polityczno-gospodarczych w świecie.

Aczkolwiek, według najnowszego wyrażenia, ukutego w gwarze dziennikarskiej, przesilenie rządowe w Polsce zostało „otwarte" dopiero dn. 5 b. m. w południe, jednak wobec zapowiedzi ustąpienia rządu p. Skrzyńskiego, rokowania stronnictw w sprawie nowego gabinetu toczyły się już od kilku dni bez przerwy. Jasne jest, iż rząd, który powstanie, będzie mógł oprzeć się tylko na tej „większości oszczędnościowej", która istnieje już, a przejawiła się w głosowaniu nad prowizorjum budżetowem, wniesionem przez min. Zdziechowskiego; w przeciwnym razie musiałby powstać rząd inflacji i bankructwa. Może być, iż właśnie myślą o wzmocnieniu, a nawet rozszerzeniu tej „większości oszczędnościowej" podyktowana była próba kompromisu, jaką jest uchwała ustępującego rządu p. Skrzyńskiego, wprowadzająca pewne zmiany do projektu „ustawy o naczelnych władzach obrony państwa". Ale sprawa ta nie należy do kategorji zagadnień, które mogłyby być przedmiotem „taktycznych" kompromisów międzypartyjnych. O rzeczywistej wartości zmian, wprowadzanych obecnie do projektu ustawy, powinni też w pierwszym rzędzie zabrać głos nie politycy, nie „taktycy" parlamentarni, ale fachowcy-wojskowi.

IGN.

NAUKA I LITERATURA

NE VARIETUR

(Z dokumentów Kiplingowego Kima)

GDYM się zaczynał uczyć języka angielskiego, miałem mniejwięcej tyle lat, co arcyfiglarz Kim, gdy go oddano do szkoły w Lucknow, uważałem go więc wtedy za swego kolegę i rówieśnika. Kiedy i na mnie przyszły lata włóczęgi, niestety stałem się mocno starszy. Ale i dziś jeszcze lubię wspominać dawne figle i psoty dziecinne, więc Kiplingowego Kima zawsze kocham, jakby był synem moim rodzonym — nie jakiegoś Irlandczyka i ze słychu tylko znanej kobiety. Przeto skwapliwie wziąłem w rękę ostatni przekład tej powieści, by odnowić dawną znajomość — i przekonałem się, że „mały przyjaciel całego świata", zawitawszy do Polski, spłatał takiego figla, na jaki nigdyby się nie zdobył, przebywając pod niebem indyjskiem. Figlem tym jest przekład, dokonany przez p. Wilhelma Mitarskiego, a wydany nakładem Tow. Wydawniczego „Ignis" *).

Mały Kim, oprócz koniarza Mahbuba Alego i oprócz mnie, miał jeszcze trzeciego dozgonnego przyjaciela; był nim lama tybetańrki Teszu, który puścił się w pielgrzymkę po angielskich Indjach, zgoła nie znając angielszczyny. Większej jednak sztuki dokazał polski tłumacz „Kima", bo przełożył „z angielskiego", choć również wcale po angielsku nie umiał. Wiedział wprawdzie, że jest to język aryjski, więc nieco spokrewniony z polskim (niestety, dziś po polsku piszą i nie-Aryjczycy!) — to też, ufając podobieństwu obu języków, gdy spotkał wyraz „*god*" (bożek, bożyszcze), przetłumaczył go: „godło" (tak!). Ponieważ jednak nie wszystkie wyrazy angielskie podobne są do polskich, więc tłumacz radził się słownika i to nieraz bardzo zawzięcie, bo wypisywał wszystkie tam podane znaczenia; tak np. „*monstruous pillars*" przełożył: „monstrualne, olbrzymie kolumny"; „*play*" oddał: „była to gra, igraszka, zabawa"... Bywało, że jakiegoś wyrazu zabrakło mu w podróżnym słowniku kieszonkowym; wtedy albo wprost wyraz ten opuszczał (mógłbym przytoczyć kilkaset przykładów), albo pozostawiał wyraz angielski (np. „*ponny*"—tak!—zamiast polskiego „kucyka", ang. „*pony*"), albo wreszcie puszczał się na domysły... Największą trudność sprawiały tłumaczowi wyrazy hinduskie, muzułmańskie lub japońsko-chińskie, jak „*kuli*", „*riksza*", „*kismet*"... Fantazja czasem tylko mu dopisywała, np. gdy indyjska *tonga*, oznaczająca „dwukolną dryndulkę", wydała mu się „górskim sępem, zataczającym kręgi nad głowami".

Taką samą chińszczyzną był zresztą dla tłumacza język angielski. Jest sobie taki pospolity czasownik „*to fumble*",

*) Rudyard Kipling. Kim, powieść w 2 tomach. Tłumaczył z angielskiego Wilhelm Mitarski. Studjum o Kiplingu Chestertona tłum. Wilam Horzyca. Tow. Wyd. „Ignis". Warszawa (bez roku).

a znaczy: szukać, gmerać, przetrząsać. Przetrząsnąwszy słownik tłumacz słówka tego nie znalazł; był bardzo zakłopotany, więc wyrażenie oryginału angielskiego „*after some fumbling*“ spolszcza: „po chwili zakłopotania“. Niekiedy jednak jest pewniejszy siebie, bo spiżową armatę („*the bronze piece*“) Zam-Zammah nazywa „kawałkiem bronzu“ (nb. „*piece*“ znaczy wprawdzie: „sztuka“, ale i „działo“), „*the cubicle*“, co oznacza zwykłą sypialnię, tłumaczy: „czworokątny (chyba sześcienny!) pokój“... W muzeum lekarskiem „wiesza“ *in effigie* wszystkie posągi dłuta greckiego (w oryginale były “*dug up*“ — wykopane). Podobnie, jako nieodrodzony syn XX w., szydzi sobie z przestarzałych sposobów wojowania i nie dość, że przemilcza mury warownej („*walled*“) Lahory, ale nawet fosę, rów forteczny — „*fort ditch*“ — przechrzcił na „Fort Ditcha“. Zato chorążego („*colour sergeant*“) Kimballa zdegradował na sierżanta, a żeby podkreślić srogość kary, każe ojcu Kima jeszcze po zwolnieniu z wojska być „sierżantem przy (!!) pułku w Ferozepore“ (w oryginale: „*gang foreman on the Ferozepore line*“ — nadzorca drużyny robotniczej na linji kolejowej F.), pomimo, że pułk ten dawno już wrócił do kraju*). Nie ma tłumacz litości nietylko nad Kimballem, ale i nad małym Kimem, każąc mu „czołgać się we wnętrzu rur wodociągowych“ na dachy domów, zamiast, jak to on umiał, drapać się po rynnie. Nieco dalej znów tłumacz umyślił postawić „śluzę“, tam gdzie w oryginale jest dziedziniec tracza, czy cieśli („*timber yard*“); nic w tem dziwnego, bo poczciwego cieślę czy spławiacza drzewa, Nilę Rama, utożsamił—z rzeką Nilem. Spotkawszy wyraz „*lap*“ (łono, podółek, kolana) i na zasadzie aryjskiego pokrewieństwa skojarzywszy go z franc. „*lapin*“ każe przez usta Kima małym chłopcom, Abdulahowi i Chota-Lalowi, w chwili strachu nie uciekać pod fartuszek mamusi, ale — przemienić się w króliki... Co za metamorfoza! „*Two words*“ (dwa słowa) p. Mitarski tłumaczy: „słowo“, a „*half a million*“ (pół miljona) to u niego „około miljona“!

Ale dość tego wyliczania, bo zajęłoby zbyt wiele czasu i miejsca; jest to bowiem jedynie (dość pobieżny) plon z pierwszych dziesięciu stronic, a cały przekład zawiera ich 440. Wspomnę więc tylko, że mówiąc o książce dwóch chińskich pielgrzymów, którą przetłumaczyli Beal i Julien **), p. Mitarski angielskie wyrazy „*translation of their record*“ (przekład ich pamiętników) oddaje po polsku: „wzmianki o ich podróży“, widocznie mając na myśli rekordy samochodowe czy pływackie. Jeżeli ktoś nie wie, co znaczy „*translation*“, jakże może być tłumaczem — „*a translator*“?

Żeby zaś to jeszcze było przełożone przynajmniej znośną polszczyzną! Ale język przekładu nie ma chyba sobie równego w niechlujstwie. Podkreślę np. stałe używanie t. zw. *accusativus judaicus*, np. „jeżeli nie zapomnieli biednego *O'Harę*“ i t.p. Arcydziełem niedołęstwa jest (pełen też błędów rzeczowych) przekład pieśni pułku irlandzkiego; jest to na szczęście jedyny popis poetycki tłumacza, bo wszystkie cudowne wiersze, jakiemi Kipling (sam znakomity poeta) przyozdobił nagłówki wszystkich rozdziałów powieści, tłumacz skazał na banicję.

Wspomina tłumacz o pracach uczonych europejskich, którzy sprawdzali „święte ustępy (?) z nauki buddyjskiej“ (nb. w oryginale jest mowa o „*Holy Places*“ — miejscach pobytu Buddy). Dziwi mnie, że w wydawnictwie „Ignis“ nie znalazł się jakiś Europejczyk, już nie uczony, — ale choćby jako tako znający angielszczyznę, któryby sprawdzał literacką wartość nie-świętych ustępów w przekładach, zaśmiecających skutecznie naszą literaturę. Nadmienię, że z p. W. Mitarskim współpracował krytyk, uważany w pewnych koterjach literackich za wyrocznię, który na końcu II tomu „Kima“ dodał we własnym przekładzie — studjum Chertestona o Kiplingu (w strasznie lichem tłumaczeniu), zgoła niczem z „Kimem“ nie związane. Czyżby polski krytyk nie mógł dać własnego zdania i głosu? Niema co mówić. Godna współpraca — wart Pac pałaca.

JÓZEF BIRKENMAJER

*) Wogóle o wojskowości nie ma p. M. pojęcia, choć książka wyszła — po wojnie europejskiej; „*Lieutenant*“ to u niego „pomocnik dowódcy armji“, nie wie, co to „subaltern“, nie odróżnia obozu od frontu, a marszu od bitwy. Podobną ignoracją odznacza się w zakresie jazdy konnej: nie tylko myli mu się uzda z kulbaką, ale nawet zad koński (tak! ang. *rump*) — z szyją!

**) P. Mitarski zrobił z tego ich „dzieła“.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Dnia 2 b. m. w setną rocznicę zgonu Antoniego Malczewskiego, warszawskie Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy zorganizowało obchód korporacyjny ku czci twórcy „Marji“. Na grobie Malczewskiego na Powązkach złożono wieniec, po południu zaś, w siedzibie Towarzystwa przy ulicy Brackiej, odbyła się akademja, podczas której prof. dr. Konstanty Górski wygłosił piękny odczyt o twórczości poety.

*

W nr. 17 „Myśli Narodowej“ p. Adam Szczerbowski wskazał na pewne podobieństwo ideowe i formalne „Oziminy“ Berenta i „Wesela“ Wyspiańskiego. P. Tadeusz Szantroch prosi nas z tego powodu o zaznaczenie, że zestawienia tego dokonał on już dawniej w recenzji z pierwszego wydania „Oziminy“. Artykuł ten p. Szantroch ogłosił w krakowskim „Rydwanie“ Cezarego Jellenty. Fakt ten — dodajemy od siebie — zasługuje na zaznaczenie dla ścisłości historycznej i p. Szczerbowski, gdyby o nim wiedział, byłby go przypomniał. Styczność jednak dzieł, o których mowa, jest tak widoczna, że każdy uważny recenzent musi się nad nią zastanowić.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Znakomite dzieło Romana Dmowskiego „Polityka polska i odbudowanie państwa“ ukazało się już w drugiem wydaniu (księg. Perzyński. Niklewicz i sp. Warszawa, Nowy Swiat 21). Jest to wydanie poprawione i uzupełnione przez autora, który zastrzega w przedmowie, że dla cytat — to nowe uważa za autoryzowane. Do tekstu dzieła dodano w aneksach przełożony z angielskiego przez autora memorjał jego z r. 1917 „Zagadnienie środkowo i wschodnio europejskie“ oraz szereg innych dokumentów. Nowe wydanie jest w druku ściślejsze i większego nieco formatu, przez to taniej skalkulowane, bo tylko na 10 zł. Poprzednie kosztowało 20 zł. Ponieważ każdy musi mieć w domu to dzieło, zrobiono więc wszystko co można, aby nabycie jego ułatwić.

Redakcja „Myśli Narodowej“ chętnie pośredniczyć będzie w nabywaniu dzieła. Należność za nie można przysyłać pod adresem Admin. „Myśli Nar.“ razem z prenumeratą. Na koszta przesyłki poleconej należy dołączać 1 zł. Konto P. K. O. nr. 3.105.

*

Znany ekonomista poznański. prof. Taylor, ogłosił świeżo dzieło p. t. „Inflacja polska“ (Poznań 1926, Tow. Przyjaciół nauk str. 407). Analizuje w niem objawy inflacji w latach od 1919 do 1923, wiążąc je z ilościową teorją wartości pieniądza za pomocą ciekawej „teorji czterech linij“, t. j. wzajemnego ustosunkowania linij kursów, ogólnego poziomu cen, cen detalicznych i ilości pieniądza, oraz za pomocą teorji szybkości obiegu pieniądza, w której widzi klucz do wytłumaczenia zjawisk inflacyjnych, dotychczas dla teorji ekonomiki niedość jasnych. Rozpatruje też szeroko kwestję skutków inflacji, które widzi w ogólnem zubożeniu społeczeństwa i w demoralizacji, objawiającej się w swoistym „inflacjonizmie“ społeczeństwa, wyrażającym się nietylko w zakresie gospodarczym, ale i politycznym. Obraz ten uzupełnia przedstawienie rozwoju programu naprawy waluty w Sejmie polskim i w polskiej publicystyce, co daje autorowi sposobność do zanalizowania różnych sposobów wyjścia z sytuacji inflacyjnej, jakie były w Polsce projektowane i stosowane. Autor dochodzi do wniosku, że trudności okresu poinflacyjnego są spowodowane nie przez sposób przeprowadzenia reformy walutowej, lecz są skutkami czasu inflacji. Zwraca też na podstawie przeprowadzonej analizy uwagę, że niema ofiar, którychby nie należało ponieść, by uniknąć inflacji.

*

Kwietniowy zeszyt „Przeglądu Wszechpolskiego“ (Warszawa, Zgoda 5, nr. 4. Cena 3 zł.) zawiera następujące rozprawy: Ryszarda Piestrzyńskiego „Zgromadzenie Ligi Narodów“, F. Zaleskiego „Od Rosji do Eurazji“, Bron. Boufałła „Układy w Locarno a bez-

pieczeństwo Polski", K. L. Konińskiego „Miasto chmur" Uwagi. W dziale recencyj ocena książki Dmowskiego „Kwestja robotnicza wczoraj i dziś".

*

Dzięki wydawnictwom Akademji Umiejętności zbliża się do nas piśmiennictwo staropolskie. Prof. Juljan Krzyżanowski wydał teraz w Bibl. pisarzów polskich powieść z XVI w. p. t. „Fortunat". Czytać ją można, jakby ją dzisiaj pisano. Treść — przygody sensacyjne Fortunata lubiącego podróże; język piękny, zasługujący na uwagę pisarzy dzisiejszych. Cenny to zabytek literatury mieszczańskiej, wydany starannie, opatrzony słownikiem.

W Archiwum do dziejów literatury (t. XV) Akademja wydała w opracowaniu prof. Czubka niesłychanie ciekawy zabytek literacki z tegoż wieku „Peregrynację do Ziemi Świętej" Mikołaja Krz. Radziwiłła (1582—1584). Dotąd znaliśmy ten pamiętnik z przeróbki łacińskiej na polski tłumaczonej; teraz dopiero poraz pierwszy prof. Czubek przedrukował tekst z oryginału, dodawszy doskonałą przedmowę, przypisy i słownik. Z rozkoszą czyta się piękną prozę Radziwiłła, a z zaciekawieniem jego przygody i poglądy.

*

Kasa im. Mianowskiego przyznała w tym roku nagrody z zapisu Jakóba Natansona za największej wartości prace naukowe, ogłoszone w języku polskim w latach 1921—1924: a) z zakresu nauk ścisłych — prof. Wacławowi Sierpińskiemu za dzieło p. t. „Zarys teorji mnogości"; b) z zakresu humanistyki — prof. Aleksandrowi Brücknerowi za dzieło p. t. „Historja literatury rosyjskiej".

U SŁOWIAN

Znany liberalny polityk rosyjski p. N. Milukow, obecnie na emigracji, wydał z końcem r. b. w Stuttgarcie (*Deutsche Verlagsanstall*) dwutomowe dzieło p. t. „*Ruszlands Zusammenbruch*". Dzieło podzielone jest na dziewięć części: Nieuniknioność rewolucji — Dlaczego bolszewizm zwyciężył? — Dlaczego bolszewizm pozostał u władzy? — Narodowość i sowieckie państwo związkowe. — Polityka zagraniczna Sowietów i trzecia międzynarodówka. — Ruch przeciwbolszewicki. — Bolszewicka gospodarka. — Klęska głodu. — Rosja jutra. — Dzieło to będzie cennym przyczynkiem do dziejów olbrzymiej przemiany, jakiej uległa Rosja od przewrotu roku 1917. Milukow stara się pisać objektywnie i w istocie lepiej się mu to udało tutaj, niż w pełnem skrywanej nienawiści ku bolszewikom, skądinąd również niezmiernie cennem dziele „*Istorja wtoroj russkoj rewolucii*" (dotychczas 3 tomy).

*

Towarzystwo Nauczycieli Szkół Średnich w Zagrzebiu wydało ostatnio w czwartem wydaniu okazały zbiór beletrystów chorwackich p. t. „*Hrvatski pripovjedaci*". Zbiór ten po raz pierwszy wydany został w r. 1907, w opracowaniu M. Ogrizovica i obejmował jedynie 11 pisarzy. Obecnie opracował go i dopełnił charakterystyką czternastu nowych (dodając jednocześnie wyjątki z ich dzieł), znany literat zagrzebski dr. Ivan Esih. Znajdują się tam obecnie takie nazwiska, jak: Milan Begović, Ksaw. Sandor-Gjalski, Josip Kosor, Vladimir Nazor, Milan Ogrizović i inni. Wypisy ozdobione są portretami pisarzy, a dzięki sumiennemu opracowaniu przez d-ra Esiha, stanowią znakomite *vademecum* dla badaczy współczesnej beletrystyki chorwackiej. Coprawda, dr. Esih, zresztą znany i zasłużony polonofil, podając przy każdym pisarzu przekłady dzieł jego na obce języki, pominął polski przekład dramatu Kosora, „O skibę" (dokonany przez J. Geszwinda) i Ogrizovića „Żony Hasan-Agi" (dokonany przez W. Pogonowską).

*

Ciekawą książkę wydał w wyd. *Deutsche Veslagsanstall* (Stuttgart, Berlin, Lipsk) Dr. Al. Hajek, doc. historji w uniw. Wiedeńskim. Nosi ono tytuł: „*Bulgarien unter der Türkenherrschaft*". Praca ta jest w założeniu nader pożyteczna i gdyby stanęła na wysokości zadania, byłaby bardzo cennem rozświetleniem pięćsetletniej epoki dziejów bułgarskich. Niestety, dr. Hajek nie umiał kierować się jedynie objektywizmem, pominął szereg ważnych kwestyj, inne (n. p. układ rewolucjonistów bułg. z księciem serbskim Mihajłem Obrenovicem z r. 1867) są zaledwie w paru słowach wspomniane. Krytyka bułgarska odmawia dziełu Hajka (nawiasem mówiąc, bardzo antyserbskiemu) wszelkiej wartości.

*

Paryski Instytut Nauk Słowiańskich wydał obecnie jako trzeci z kolei tom swych „*Travaux*" monografję p. t. „*Les formes du duel en slovene*", której autorem jest L. Tesnière. Książka ta posiada dla nauki filologji słowiańskiej pierwszorzędne znaczenie, ponieważ *dualis* (liczba podwójna) w języku słowieńskim jest obecnie w stadjum zaniku, (pozatem *dualis* istnieje tylko u Serbów łużyckich). Bardzo interesująco przedstawia się dołączony do pracy „*Atlas linguistique des formes du duel*", zawierający 70 kart, będący dowodem znakomitej użyteczności kartografji w językoznawstwie.

*

W wychodzącym dwa razy na miesiąc praskim przeglądzie politycznym „*Zahranicni Politika*", w num. 7 z dn. 10 kwietnia 1926 zamieszczono szereg interesujących artykułów: Al. Hain: Idea Stanów Zjednoczonych Europy a Ameryka — V. Dresler: Polska a Europa — Al. Musil: Sprawy tureckie—Sytuacja polityczna we Francji i w SSSR—Organizacja międzynar. izb handlowych (A. Basch)—Przegląd prawniczy—Literatura—Uwagi—Kronika i dokumenty—Rozprawa p. Dreslera „Polska a Europa" wykazuje nierozerwalną łączność problemów polskich z całokształtem zagadnień europejskich, wyświetla tendencje naszej polityki zagranicznej w przeszłości i obecnie i powołując się na „Polskę i pokój" Skrzyńskiego, zaznacza, że polska polityka powinna być wtedy pacyfistyczną, gdy może opierać się na odpowiedniej sile zbrojnej państwa; praca pisana jest z dużą erudycją i znajomością stosunków. W dziale krytyk przy omawianiu znanej tendencyjnej publikacji niemieckiej „*Der Kampf um die Weichsel*", zaznacza recenzent, że autorzy tej „naukowej" publikacji nie brali pod uwagę etnicznego składu ludności korytarza polskiego—a to „w dziele naukowem jest całkiem niedopuszczalne".

*

Bardzo zajmującą treść przynosi zeszyt 3 — 4 paryskiego pisma slawistycznego „*Revue des études slaves*" (t. V): Najdawniejsze państwo słowiańsko-rumuńskie na prawym brzegu Dunaju (N. Jorga) Studja nad słownictwem słowiańskim: II o kilku nazwach liczbowych (A. Meillet) — Djalekty łotewskie: środkowy i górno-łotewski (G. Plakis) — Uwagi nad wymową rosyjską: artykulacja labialna (V. Bogorodickij) — Byliny M. Potyka i legendy indoeuropejskie Ambrozjusza (G. Dumézil) — Książę A. Kantemir, poeta francuski (G. Lozinski) — Opracowania powieści Turgieniewa (A. Mazon) — Kronika.

*

Równie interesujący jest i 12 numer organu londyńskiej Szkoły studjów słowiańskich „*The Slavonic Reviev*" (t. IV). Jest tu nekrolog znakomitego prawnika rosyjskiego, prof. uniw. w Oxfordzie, sir Paul Vinogradoff'a, następnie pisze prof. R. Dyboski na temat „Żeromski a Reymont", o Mikołaju Gogolu pisze C. A. Manning, filozofję Kirejewskiego przedstawia H. Lanz, J. W. Thompson zajmuje się średniowieczną ekspansją niemiecką w Czechach, historyk bułgarski W. N. Złatarski pisze o tworzeniu się narodu bułgarskiego, następnie mamy artykuł o trójce „morderców sarajewskich", min. czeskosłowacki w Paryżu St. Osusky przedstawia tajne rokowania o pokój między Austro-Węgrami a Stanami Zjednoczonemi, W. Burcew zajmuje się rosyjskiemi dokumentami w *British Museum*, Dyboski wspomina jubileusz 70-ych urodzin A. Brücknera, wreszcie następują przekłady wierszy Puszkina, Pleszczejewa i M. Romanowskiego. W dziale dokumentów: Stosunki między Rosją a W. Brytanją w czasie kryzysu wschodniego — Indeks inkwizycji rosyjskiej — Nekrologja — Kronika — Bibljografja.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W języku angielskim ukazała się książka o latach dziecinnych Szopena, napisana przez dwie autorki Kennedy i Umińską. *(Chopin. The child and the lad)*. Krytyka angielska *(Times, Bookman, The Nation, The Christian World, The Field, Musical Opinion, Montly Musical Record)*, przyjęła książkę w wielkiem uznaniem. Co jest wartością książki naukową, a dla Polski chlubą? Autorki zebrały materjał etnograficzny środowiska, w którem Szopen się chował i udowodniły, że genjusz jego wybujał na glebie polskiej pieśni ludowej. Dla krytyki literackiej i muzycznej Anglji było to odkryciem pierwszorzędnem. Teraz dopiero zrozumiano Szopena i uznano jego polskość. Należałoby tę książkę wydać po polsku. My tu w Polsce wiele mówimy o ludowości Szopena, ale nikt nam tego nie pokazał.

*

P. Henry Bidou, znakomity krytyk, oraz wykwintny mówca i znawca głęboki literatury francuskiej poświęca swoją ostatnią książkę Szopenowi. Wyszła ona u Alcan'a w Zbiorze „*Grands maîtres de la musique*". Twórczość p. Bidou zatacza coraz te szersze i coraz to bardziej różnorodne kręgi, świadcząc o wielkiej kulturze autora. Jego książka o Szopenie jest wytworną biografją wielkiego muzyka, odtwarzającą jego życie i analizującą jego potężne dzieło.

*

W ostatnich latach rozwinęła się, jak wiadomo, żywa dyskusja i polemika dookoła osoby Szekspira. Niektórzy sceptycy poszli

nawet tak daleko, że wręcz przeczyli istnieniu wielkiego pisarza. Pani Longworth-Chambrun w dziele *„Shakespeare, acteur-poête"* (Plon édit.) opartem na dokumentach współczesnych epoce Szekspira, usiłuje odtworzyć atmosferę, w krórej w rzeczywistości żył i działał nieśmiertelny autor „Hamleta".

*

„Jesuis un affreux bourgeois" (Albin Michel) jest najnowszym utworem p. Clément Vautel, dowcipnego autora *„Mon curé chez les riches"*, *„Mon curé chez les pauvres"* i wielu innych doskonałych prac. Ostatnia jego książka jest znakomitą satyrą na średnią burżuazję francuską.

*

„Le lion ailé" (Plon édit.), którego autorem jest p. Pierre Nothomb, autor *„La Rédemption de Mars"*, jest pierwszą powieścią francuską o Włoszech Mussoliniego, wyrażającą nowy sposób myślenia włoskiej generacji powojennej. W cieniu *„Lion ailé"* św. Marka rodzi się szlachetna, idealistyczna miłość pomiędzy pisarzem, obserwującym rozkwit obecnych Włoch, kierowanych silną ręką *„Duce"* a młodą kobietą, uosobiającą dlań zapał i wiarę w nowy porządek rzeczy.

*

P. Jules Cambon, który był ambasadorem francuskim w Berlinie w chwili wybuchu wojny, ogłasza u Hachette'a niezmiernie ciekawy tomik p. t. *Le Diplomate.* Autor w sposób dowcipny i bardzo subtelny, opierając się na swem dużem doświadczeniu, kreśli żywy obraz dyplomatów i dyplomacji, pełen historycznych i nawet filozoficznych rozważań. „Znać jakiś kraj — pisze p. Cambon — to znaczy przeniknąć jego ducha, żyć w atmosferze jego idej i być w możności zrozumienia, jaki jest stosunek między jego polityką zewnętrzną i wewnętrzną. Często z rozmowy pozornie banalnej można więcej się dowiedzieć, aniżeli z poważnych dyskusyj". I tak p. Cambon, właśnie na podstawie prywatnej rozmowy, jaką miał z księciem Enckel von Donnersmarck, jeszcze przed zamachem w Serajewie, doszedł do wniosku, że już z wiosną 1914 r. Niemcy byli zdecydowani wywołać wojnę światową.

*

W poważnem, źródłowym dziele p. t. *Le vrais criminels* (Berger-Levrault) p. Florent Matter kreśli w sposób bardzo interesujący historję stosunków pomiędzy Francją a Niemcami od chwili, gdy, nazajutrz po Sadowie, zniszczenie Francji stało się głównym celem Bismarcka. W książce tej z siłą uwidoczniona jest odpowiedzialność „zbrodniarzy", którzy świadomie wywołali wojnę światową, podczas gdy Francja prowadziła przez cały czas politykę pokojową. Strony, na których autor kreśli obraz obecnych Niemiec i panujący tam dziś stan umysłów, są niezmiernie ciekawe i niepokojące. Interesujące również są ustępy, poświęcone paktowi reńskiemu i wogóle zagadnieniu bezpieczeństwa.

TEATR

„LUDZIE TYMCZASOWI" Z. KAWECKIEGO

WYSTAWIONA w tydzień po „Agne" Erbena na scenie teatru Narodowego komedja Zygmunta Kaweckiego „Ludzie tymczasowi" wiąże się z tamtym dramatem wspólnością motywu historycznego. W obu przeżywamy jeszcze fale wspomnień wielkiej wojny i tułactwa. U Kaweckiego też marzenie, ale obrócone w żart komedjowy. Było w Moskwie gniazdo Polaków; r. 1918; bolszewizm. Polacy marzą o powrocie do Warszawy. I to marzenie w 3-m akcie się spełniło. Młodzieniec (literat), który w Moskwie się bałamucił z Rosjanką (analogja do bohatera Erbena), tam na miejscu znalazł sobie Polkę, którą przywiózł do Warszawy i zaślubił. W Moskwie była idealna, a w Warszawie zaczęła żywot dancingowy, jak Małgorzatka z szopki. Marzenie się spełniło, ponieważ jednak było bierne. pustackie, więc nie bardzo wiedziano, co po realizacji robić. Pisarz, artysta, kobieta nie wpadli we właściwe dla siebie miejsca, zajęto się paskarstwem, kurtyzanctwem, ale poczciwe życie polskie wyprowadziło ich na właściwą drogę. Marzyli podczas wojny o przyszłości, jako erze używania; życie ich przekonało, że trzeba pracować, że praktyczniej jest pracować... Zgodzono się na to w sposób komedjowy bez dramatu. Być może będą pracowali, a może nie. Ale to wszystko jedno. Kaweckiemu chodziło o zdarzenie, nie o morał.

Żeby to zdarzenie opowiedzieć, Kawecki zużytkował na tło kawał dziejów, skąd inąd przecież dramatycznych, jakby kto dla owinięcia pantofli zrywał ze ściany mapę Europy. Wynikła stąd pewna dysproporcja między tłem dziejowem a krotochwilą. Mniejsza o to, że — póki rzecz dzieje się w Moskwie — członek redakcji pisma polskiego zawiera stosunki przyjacielskie i miłosne z tubylcami — jest to awantura osobista. Ale w akcie trzecim, gdy akcja przeniosła się do Polski, autor musiał popełnić już niewłaściwość historyczną i wprowadził moskiewskich bolszewików (z Leszczyńskim) do Warszawy, aby tu akcję krotochwilną kończyli, szastając się po Warszawie, jak u siebie. Tło etnograficzne pierwszych aktów, w ostatnim musiało stać się rysunkiem na tle życia polskiego, co już pod względem historycznem jest zbyt bezceremonjalne.

Kawecki lubi czerpać z obserwacji bezpośredniej. W poprzednich sztukach miał materjał potoczny z życia swojskiego. Tutaj zarwał mimowoli historji. Ludzie jego są autentyczni. Widziałem ich i jego samego w r. 1918 w Moskwie, w środowisku, które się wytworzyło z dramatu dziejowego. Gdy o tę gazetę, gdy o ten misyjny posterunek autor na scenie potrąca, wiążą się z krotochwilą obrazy niewspółmiernej treści. „Gazeta Polska", gdzie bohaterzy komedji pracowali, była organem myśli i marzeń innego typu, niż te, którym autor na scenie daje wyraz.

Trzeci akt nie jest architektonicznem rozwiązaniem dwóch pierwszych; wygląda jak osobny pawilonik. Nie widać w tamtych aktach celowej roboty artystycznej na to, żeby powstał trzeci. Tamte robione są inną metodą z fotografji i mają swój cel w sobie. Teza tymczasowości ujawnia się w trzecim akcie i znajduje rozwiązanie niezależne od tego, co się działo przedtem. Że autor sztucznie chciał te rzeczy związać, że wyciągnął bolszewików z fotografji i dał im tu żywot w Warszawie, aby godzili Polaków z polską rzeczywistością, — to był pomysł kompozycyjny pustacki.

Przy każdej sposobności krytyka obowiązana jest zwracać uwagę autorom na jedną ważną okoliczność, że cokolwiek w sztuce się tworzy—dramat czy krotochwilę — twórca powinien władać całością tego życia, z którego wykrawa. To było siłą Szekspira, Moliera, Wyspiańskiego, Fredry, że pili z „pełnego", że tworzyli nie z podglądania, lecz z widzenia wskroś. Wtedy się nie zszywa z kawałków i nikogo nie razi brakiem perspektywy życiowej. Żeby tworzyć pełne rzeczy, trzeba żyć całą pełnią, na najwyższy wyrost współczesnego człowieka. Inaczej — nawet w tak dużym talencie, jaki posiada Kawecki — życie odbija się jak w pokrzywionem lustrze.

Talent Kaweckiego potrafi czynić efekty oszałamiające. Dla tego dopiero w tygodniku sprawozdawca może się kusić o refleksje; doraźne wrażenie sztuki jako zabawy jest bezspornie korzystne dla zdrowia. Budzi śmiech i wdzięczność dla aktorów.

Teatr Narodowy ma najlepszych artystów w Polsce, jest więc o co szturmować do jego podwoi, żeby tu być granym a nie gdzieindziej. Pani Pichor-Śliwicka i Brydzińska, pp. Jaracz, Węgrzyn, Staszkowski, Lenczewski, Myszkiewicz, Stoma i cały szereg innych, zrobili z tekstu Kaweckiego arcydzieło sztuki scenicznej.

Z. W.

NOWE KSIĄŻKI

Roman Dmowski. Polityka polska i odbudowanie państwa Z dodaniem memorjału „Zagadnienia środkowo i wschodnio europejskie“ i innych dokumentów polityki polskiej z lat 1914 — 1919. Wydanie II Warsz., 1926. Nakładem księg. Perzyński, Niklewicz i sp. Str. 533. Cena 10 zł.

Edward Taylor. Inflacja polska. Poznań 1926. Nakładem Pozn. Tow. przyjaciół nauk z zasiłkiem min. oświaty. Skład gł. księg. Fiszera i Majewskiego w Poznaniu. Str. XII i 497.

Stefanowa Badeniowa. Olga Kirmaniuk. (powieść) Lwów. 1926. Skład w księg. Naukowej.

Przegląd Wszechpolski, kwiecień 1926.

Przegląd Polityczny. Warsz. zeszyt 5 (maj).

Ateneum Kapłanskie, miesięcznik, Włocławek 1926, kwiecień. (Semin. duchowne).

X. Józef Rokoszny. Monografja Państw. Seminarjum nauczycielskiego męskiego w Radomiu (1915 — 1925) Radom 1925 Nakładem Minist. ośw. str. 234, 30 załącz. i 12 tabl. in folio. Z ilustr.

X. Charszewski. Z bojów o Żeromskiego. I str. 32. II Goljat w kapeluszu str. 48. Włocławek 1926.

Boy-Żeleński, Mózg i płeć. Studja z literatury francuskiej. Wyd. nowe pomnożone. Warsz. 1926. Księg. F. Hoesick. str 301.

Balzac. Komedja ludzka. Ferragus. Przełożył Boy-Żeleński Warsz. (1926) Bibl. Boya. F. Hoesick.

Sprawa Józefa Muraszki (Zabójstwo Bagińskiego i Wieczorkiewicza) Warsz. 1926, F. Hoesick, str. 125.

Jan Nep. Miller. Zaraza w Grenadzie. Rzecz o stosunku nowej sztuki do romantyzmu i modernizmu w Polsce. Warsz. 1926, Nakł. księg. F. Hoesicka, str. 203.

X. Teodor Czerwiński Wspomnienia o ś. p. Michale Rewińskim pedagogu. Kielce 1926. Druk św. Józefa na Karczówce, str. 16 (druk. jako manuskrypt).

Ignacemu Chrzanowskiemu uczniowie lubliniacy (1910 — 1925). Lublin 1926. Skład gł. u Gebethnera i Wolffa, str. 183 Odbito 500 egz. i 10 na pap. czerp.

Ignacy Chrzanowski. Marcin Bielski. Studjum historyczno-literackie. Wyd. II popraw. i uzupeł. Warsz. 1926 Książnica Atlas, str. 8 nl. i 351.

Edward Walewski. Wiwlasy. Jamb na stulecie Filomatów. Wilno 1926. Nakładem L. Chomińskiego. str. 64.

Edward Słoński. Antologja współczesnej poezji polskiej Zebrał i ułożył... Warsz. 1926. Bibl. domu polskiego, str. 192.

Wacław Świątkowski. Suwalszczyzna i okolice nadniemeńskie. Pierwsza wycieczka po kraju. Warsz. 1926 Nakładem autora. Skład gł. w Domu Książki Polskiej, str. 56 z ilustr: Cena 3 zł.

Muzyka, miesięcznik, Warsz. 1926, kwiecień.

Różyccy Stefanja i Ludomił. Szkoła śpiewu według muzyków włoskich Porpory, Garcii, Lampertiego oraz problemat postawienia głosu oparty na zasadzie sztuki śpiewaczej Enrico Caruso, Opracowali... (Warsz. 1926) Gebethner i Wolff. Tekst ilustr. nuty str. 62 in folio.

Julja Baranowska Borowska. Święto pieśni dzieci polskich. II Warsz. 1926. Gebethner i Wolff.

Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Peregrynacja do Ziemi Świętej (1582—1584). Wydał Jan Czubek. Kraków 1925. Wyd. Pol. Akademji Umiej. Archiwum do dziejów liter. i oświaty, t. XV, cz. 2, Str. 171.

Adolf Dygasiński. Gody życia. Opowieść. Warszawa 1926. E. Wende.

Giraud-Mangin. Sekretarz ambasady. Powieść. Przekład z francuskiego. Warsz. 1926. Perzyński Niklewicz i sp. Cena 3.50.

Wincenty Kosiakiewicz. Rodzina Łatkowskich. Powieść. — Gustaw Olechowski. U wrót Barbarji, Romans. Warsz. 1926. Bibl. dzieł wyb.

Jan Żarnowski. Organizacja kontroli państwowej we Francji, Belgji, Włoszech, Czechosłowacji, Austrji, Niemczech, Rosji (przedwoj.) i w Polsce. Warsz. 1926. Wyd. Najw. Izby kontr. Str. 213.

Słownik wiedzy nowej. Praca zbiorowa pod red. W. Nałęcz-Wojciechowskiego. Zesz. 2. Ostrowiec 1925. Nakł A. Komornickiego.

Związek Florjański. Sprawozdanie z działalności za r. 1925. (Warsz. 1926).

Stanisław Bąkowski. Scieżki ułomnych. (Poezje). Kraków 1926. A. Krzyżanowski.

Feliks Krassowski. Scena narastająca. Zasady i projekty. Kraków 1926. Nakładem Zwrotnicy. Str. 32.

Janusz Stępowski. Sad w środku miasta. Powieść. Rzeszów (1926). Księg. W. Uzarskiego.

Robert Hichens. Po wyroku. Powieść. T. I. Warsz. Bibl. dz. wyb.

NA MARGINESIE

Punktem kuliminacyjnym święta narodowego w dniu 3 maja ma być biuletyn z wykazem odznaczeń, komu Rzplita składa dank za to, że *Polonia est restituta*. Na to kreowano osobny order tej nazwy. Biuletyn ten odczytywany jest zawsze krytycznie, ludzie bowiem starają się wmyśleć w decyzję kapituły, w której kanclerzem jest prof. Kochanowski, jak też sobie ona wyobraża, ile komu Ojczyzna odrodzenia zawdzięcza. Ludzie, którzy zsumowali w pamięci te spisy utrzymują, że order dostali przedewszystkiem już wszyscy wybitniejsi defetyści i zwolennicy państw centralnych, potem wszyscy aktorzy. Z tytułu pracy ideowej nad realizacją programu zjednoczenia i niepodległości nie dostał nikt, chyba że zdarzył się komuś tytuł urzędowy, który zdołał tamtą niemiłą dla masonerji kwalifikację zatrzeć. Zdarza się nawet, że otrzymują order odrodzenia — jak w tym roku — działacze dawno ekspatrjowani, którzy do Polski po odrodzeniu ani zajrzeli i dla niej nic nie robią, a w czasie wojny całą siłą swoich wpływów, z narażeniem naszej dobrej sławy u sojuszników, wspomagali moralnie politykę państw centralnych, a ci przecież Polski wskrzesić nie mieli. Wobec tego ciągle wspominany jest fakt, o którym już przed laty w prasie pisano, że jeden z najstarszych pisarzy, którego nazwisko już w XIX w. oznaczało całą epokę życia umysłowego Polski, który powagą swoją w czasie wojny, jak mur, wstrzymywał społeczeństwo od błędu politycznego, wykreślony został z listy odznaczeń, jako niemiły kapitule czy władzom. Udzielano już wstęgi tego orderu pisarzom spornej dla narodu zasługi; do ludzi marki narodowej Rzplita nie ma odwagi się przyznać.

*

W teatrze narodowym w Paryżu, Komedji Francuskiej, dwaj utalentowani autorzy Denys Aniel i André Obey wystawili tragikomedję „*La carcasse*“ (szkielet), w której bohaterem jest dymisjowany generał francuski odrażającego charakteru. Z inicjatywy Ligi patrjotycznej publiczność wśrod burzliwych zajść zerwała piąte przedstawienie. Nazajutrz debatowano o tem w parlamencie; na interpelację odpowiadał minister oświaty. Pomimo, że minister uzyskał aprobatę większości, to jednak autorowie sami wycofali sztukę. Trudno nie widzieć w tem zdarzeniu znaku czasu. Nad ulicą bierze górę myśl społeczna, która dochodzi do wniosku, że prawa zabawy mają swoje granice, że naród nie może oddać wszystkiego na poniewierkę. Francja zbyt wiele przelała krwi, aby mogła wydawać powagę armji na igraszkę ulicy, jak tego chce moda „pacyfizmu“. Kończy się orgja antypaństwowej propagandy.

*

„Publicysta“ i „polityk“ p. Aubac wygłosił w Sorbonie, pod przewodnictwem naprawdę wybitnego pisarza p. Bardoux, odczyt o polskich mężach stanu: Piłsudskim, Sikorskim i Skrzyńskim, oraz o zasługach i działalności p. ambasadora Chłapowskiego. Sam o tem doniósł specjalnym telegramem do „Kurjera Warszawskiego“ nie jak zwykle pod literą A. ale pod literą B. Podobnie sam przekonał o swej znakomitości i znawstwie polskiego życia p. Bardoux. Dlaczego taka drobnostka nie miałaby mu się udać, skoro udało mu się przekonać wszystkich, że zowie się Aubac, a nie Auerbach? Dlaczego jednak przedstawicielstwo polskie pozwala zależnemu od siebie spółpracownikowi biura prasowego na taką reklamę i obecnością swoją oficjalnie nieomal stwierdza, jakoby p. Aubac cokolwiek znaczył i wyobrażał, — wytłumaczyć daje się tylko specjalnemi widać metodami propagandy polskiej. Skoro Paryż tak daleko jest od Polski, to może tą drogą ambasada nasza się dowie, że w Polsce nikomu przyjemności nie sprawia reprezentowanie Polski przez p. Aubaca... w Sorbonie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM